

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7 Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 2 lutego 1907. Nr. 5.

Hajdamacy na lwowskim uniwersytecie.

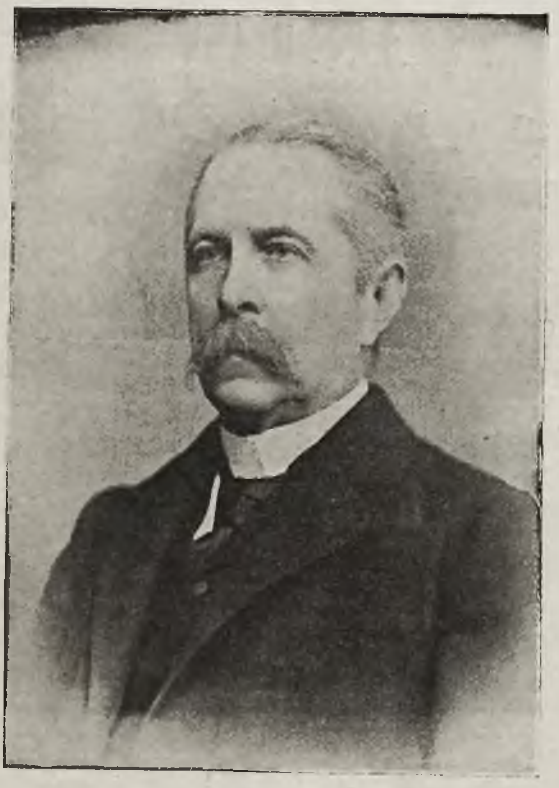
(Treść na stronie 2).



Hajdamacy na lwowskim uniwersytecie.

(Do illustracyi tytułowej).

Wszechnica lwowska, droga sercu polskiemu Alma mater, stała się znowu widownią zajść brutalnych. Przez mury jej przepłynęła znowu fala rozpasanego barbarzyństwa, niszcząc to wszystko, co kulturna ludzkość otacza szczególną opieką, niszcząc drogocenne dzieła sztuki, niszcząc przedmioty codziennego użytku, znacząc wreszcie ślady swych kroków krwią przedstawicieli polskiej nauki.



Hajdamacy na lwowskim uniwersytecie: Rektor uniwersytetu prof. dr. Gryziecki.

Wzdryga się z oburzeniem myśl ludzka na widok strasznego spustoszenia, jakie godni potomkowie hajdamaków w ubiegłym tygodniu poczynili w murach lwowskiego uniwersytetu. Przebieg tych skandalicznych zajść był następujący:

Tuż przed godziną 12 tą w południe, a więc w czasie, kiedy jak najmniej wykładów i najmniej słuchaczów na uniwersytecie, zaczęli się gromadzić w korytarzach I piętra ruscy studenci. Na wiadomość o tem, w przewidywaniu jakiejś demonstracyi, wyszedł ze swej kancelaryi sekretarz uniwersytetu, profesor dr. Alojzy Winiarz i razem z prof. dr. Chlamtaczem skierował swe kroki ku zebranym w pobliżu akademikom ruskim. Nagle na idących profesorów rzuciła się grupa, złożona z kilkunastu ukraińców, uzbrojona w pałki, siekiery, siekierki, boksery, rewolwery, wpadła pomiędzy obu i w tej chwili na głowę prof. Winiarza spadły zadawane z tyłu ze straszną siłą razy pałek. Trwało to jedno mgnienie oka. Prof. Chamtacz rzucił się na ratunek koledze, który pod razami pałek oblany krwią, upadł na ziemię, bandyci jednak, jak szybko wpadli, tak samo szybko umknęli, zaszywając się w tłum kolegów zebranych pod aulą.

Napad na prof. Winiarza był hasłem do dalszych barbarzyńskich kroków. Dzicz hajdamacka wpadła gromadnie do auli uniwersyteckiej, gdzie za chwilę miały się odbyć trzy promocye doktorskie i gdzie z tego powodu zebrało się grono osób, w tem kilka pań. Wywaliwszy drzwi rzucili się studenci ruscy z dziką zajadłością na sprzęty, stojące w auli, niszcząc siekierami i toporkami wszystko, co im w ręce wpadło. Ofiarą wandalizmu ruskiego padły też drogocenne portrety rektorów lwowskiej wszechnicy, dzieła pierwszorzędnych malarzy, porozwieszane na wszystkich ścianach auli.

Najbardziej zniszczone są duże obrazy rektorów dr. Ludwika Ćwiklińskiego (pędzla Augustynowicza) i rektora dr. Leona Piętaka (pędzla Styki). Płótna tych obrazów pocięto nożami z góry na dół. Na innych portretach są ślady uderzeń końcem lasek, a także widać małe otwory, jakby od kul rewolwerowych. W ten sposób zniszczono portrety: Leona hr. Pinińskiego (pędzla Augustynowicza), Bilińskiego (pędzla Pochwalskiego), Małeckiego Ant., ks. Alberta Filarskiego, Tomasza Staneckiego, ks. Józefa Delkiewicza, ks. Łukasza Soleckiego, Karola Hüttnera, ks. Klossa, Żmurki (pędzla Żmurki syna), ks. Onufrego Krynickiego, ks. Sarnickiego (obecnego archimandryty bazyliańskiego w Żółkwi) i prof. Czerkawskiego. Niektóre portrety ściągnięto ze ściany i rzucono na podłogę.

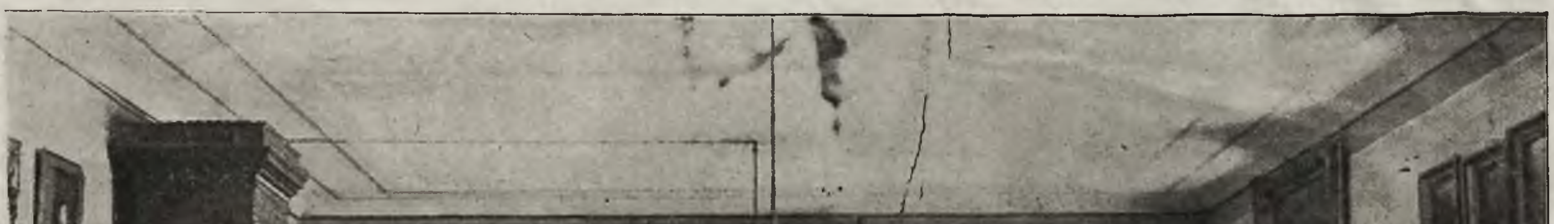
Z auli ruszyło hajdamactwo do sąsiednich sal dziekanackich, do sali konferencyjnej, do kilku ubikacyj kancelaryjnych wszędzie znacząc w ten sam sposób swe kroki, a więc łamiąc i rozbijając sprzęty, lampy, obrazy, lustra. Równocześnie druga gromada ruskich studentów wpadła do kilku sal wykładowych, powybijała w nich szyby, a następnie poczęła wynosić ławki i budować z nich w korytarzu barykady.

Obraz zniszczenia, jaki przedstawił się po opuszczeniu przez Rusinów gmachu uniwersyteckiego, przeszedł oczekiwania nawet tych ludzi, którzy mieli i skądinąd sposobność zapoznać się bliżej z wartością moralną i kulturą „młodzieży“ ukraińskiej.



Hajdamacy na lwowskim uniwersytecie: Pobity przez Rusinów sekretarz uniwersytetu dr. A. Winiarz.

Już u wejścia na korytarze, po przejściu barykad uderzał w oczy ten obraz zniszczenia. Wszędzie powydzierane rury gazowe, świeczniki, deski poodrywane, drzwi do auli powyłamywane, wewnątrz kompletna ruina. Tuż przy drzwiach katedra porąbana siekierami, fotele połamane, poprzewracane w nieładzie. Wszędzie kawałki stołów, stołków porozrzucane papiery przygotowane do promocyi, rulony z dyplomami połamane, walają się po ziemi powydzierane z ram i podarte portrety, a wiszące na ścianie, pocięte barbarzyńską ręką, z śladami lasek i kul. Taki sam obraz zniszczenia w sąsiedniej sali dziekanatu wydziału prawniczego, gdzie połamano i pobito wszystko, co tylko było, tak samo w kancelaryi oficyała uniwersytetu p. Owoca. W następnej sali, konferencyjnej, z dębowego stołu pozostały tylko kawałki, kanapy pocięte z powydzieranymi kłakami, zegar połamany, fotele również połamane w kawałki, a na ziemi podarta w kawałki toga rektorska. Biuro pedela, dzięki temu, że znajdowało się tam kilku woźnych, ocalało, zburzyli za to ukraińcy zupełnie sąsiednią salę dziekanatu wydziału medycznego, gdzie z portretów dziekanów wydziału ocalały jedynie portrety dr. Gluzińskiego i dr. Prusa, a gdzie zniszczono wszystko zresztą, połamano nawet olbrzymiej grubości świecznik i marmurową umywalnię.



Fot. umyślnie dla »Now. Ill.« N. Lissa, nadw. fot. we Lwowie

Hajdamacy na lwowskim uniwersytecie: Zniszczone przez ruskich akademików urządzenie auli uniwersyteckiej.

Tak to „pohulała“ sobie młodzież ukraińska w pamiętnym dniu

23 stycznia, w ten sposób zamanifestowała swój patryotyzm, w ten sposób zadokumentowała swą kulturę i udowodniła potrzebę założenia dla niej uniwersytetu ruskiego.

Hajdamacka zawierucha zupełnie niespodziewanie zaskoczyła obecnych na uniwersytecie, wywołała też panikę, która następnie przeszła w słuszne i nietajone a powszechne oburzenie. Małą i niewystarczającą satysfakcyą było przyaresztowanie wszystkich prawie ekscedentów, w liczbie 116. Aresztowanie to miało przypadkowo przebieg zupełnie spokojny. Hajdamacy mianowicie dowiedziawszy się, iż pod uniwersytet przybyła policya i że dostała upoważnienie do wkroczenia do wnętrza gmachu, postanowili uciec.

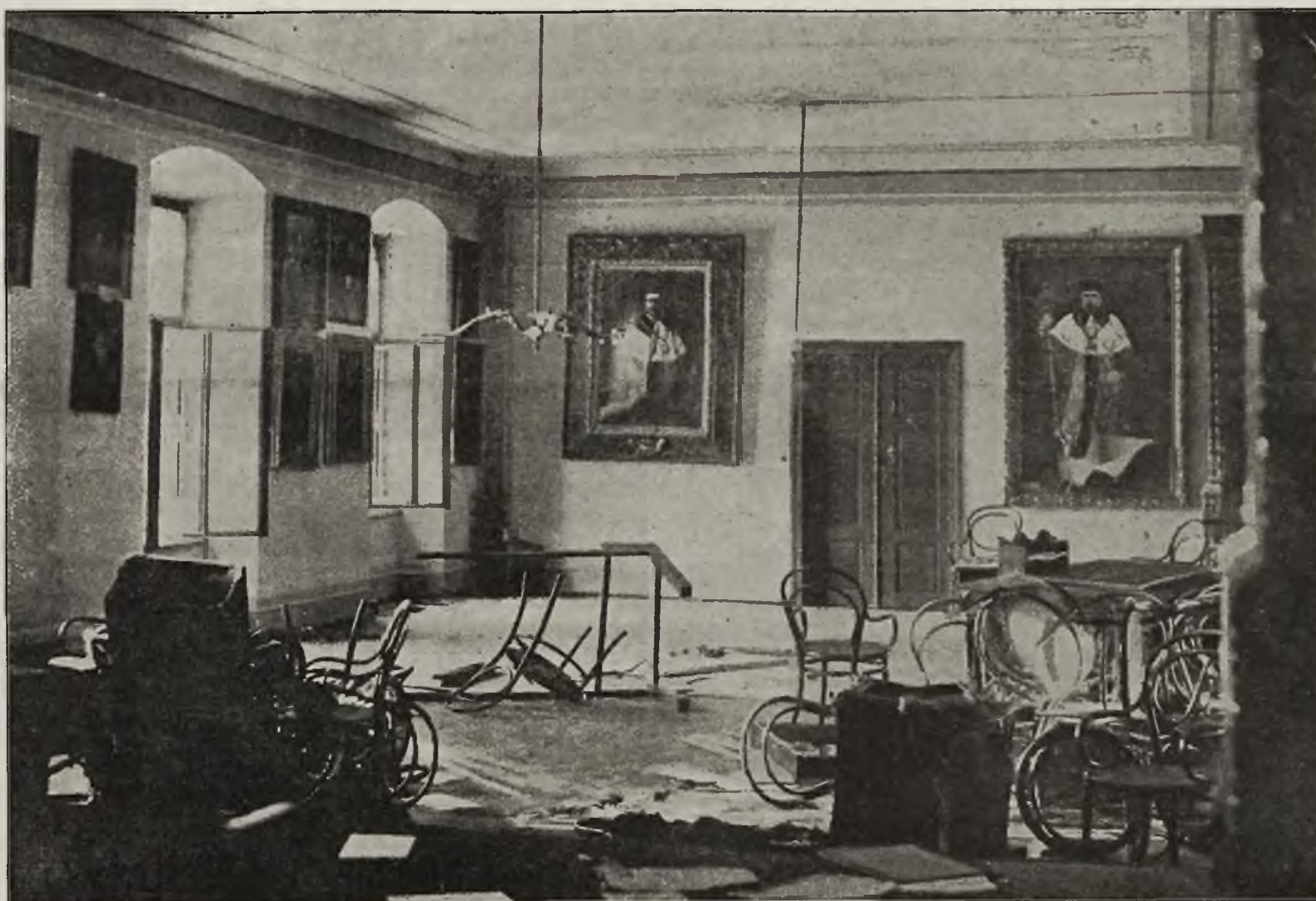
W chwili jednak, gdy doszli do bramy, spotkali się oko w oko z silnym kordonem policyi, która otoczyła ich, a następnie odprowadziła do gmachu dyrekcyi policyi. Od godziny 2 po południu do 1 w nocy trwało przesłuchiwanie aresztowanych. Trzech z nich, których wina została stwierdzoną, odstawiono następnie do więzienia śledczego w sądzie karnym, resztę zaś puszczono na wolną stopę.

* * *

Oprócz ryciny tytułowej, wyobrażającej główny moment roboty hajdamackiej w auli, zamieszczamy jeszcze trzy fotografie, umyślnie dla naszego pisma zdjęte, które przedstawiają wnętrze uniwersytetu w godzinę po napadzie.

Na pierwszej widzimy poniszczone urządzenie auli, połamane krzesła i fotele, porozrzucane w najokropniejszym nieładzie, kilka portretów podziurawionych, walających się na ziemi. W głębi biust cesarza Franciszka Józefa I, oraz portrety cesarzów Franciszka I i Ferdynanda. Na rycinie drugiej, prócz połamanych sprzętów, widać na froncie dwa największe portrety, po lewej b. profesora i rektora wszechnicy dr. L. Piętaka (pędzla J. Styki) z uszkodzoną głową, po prawej dr. Ćwiklińskiego (pędzla Augustynowicza). Ten portret przecięty jest nożem przez całą prawie długość, a w dodatku zupełnie potargany. Rycina trzecia wreszcie przedstawia salę konferencyjną. Na poręczy potarganej sofy, z której wylatuje włosień, wisi część podartej togi rektorskiej. Druga część wisi obok na odłamku szaragów. Całe urządzenie sali zdemolowane. Zamieszczamy wreszcie portret sekretarza uniwersytetu prof. dr. Alojzego Winiarza, który padł ofiarą hajdamaków i ciężko ranny w głowę, i potłuczony leży w domu.

* * *



Fot. umyślnie dla »Now. Ill.« N. Lissa, nadw. fot. we Lwowie.
Hajdamacy na lwowskim uniwersytecie: Zniszczenie przez ruskich akademików auli uniwersyteckiej.

Oburzona do głębi i dotknięta znieważeniem świątyni nauki akademicka młodzież polska, dała w sobotę wyraz swym uczuciom poważną i spokojną manifestacyą. Na wezwanie prezydyum „Czytelni akademickiej“ zgromadziło się w południe w gmachu uniwersyteckim liczne grono młodzieży, przybyło też wiele słuchaczek. Wówczas udała się do rektoratu deputacya młodzieży, złożona z przedstawicieli wszystkich wydziałów oraz przedstawicieli wszystkich polskich towarzystw akademickich a imieniem jej przemówił prezes Czytelni akademickiej pan Widomski, dziękując rektorowi i senatowi, że mimo barbarzyńskich zajść nie wstrzymał toku nauki. Wyrażając nadzieję, że senat i nadal będzie strzegł godności uniwersytetu, oświadczył, że gdyby powołane do tego czynniki nie wsparły należycie usiłowań senatu, to młodzież będzie musiała chwycić się samoobrony i oświadczył w końcu, że w poczuciu zniewagi, jaką wyrządzono wszechnicy, „ani jednego z członków szajki, która urządziła napad, na ławach uniwersyteckich koło siebie nie ścierpi“.

W odpowiedzi na to oświadczenie podziękował rektor dr. Gryziecki (którego portret również zamieszczamy) za zaufanie, z jakiem młodzież odnosi się do senatu w sprawie zajść ruskich, zapewnił dalej, że senat jest najzupełniej świadom swych obowiązków. Prosił w końcu rektor, by młodzież i dalszy ciąg akcyi pozostawiła senatowi, a swem poważnem stanowiskiem umożliwiła senatowi energiczne a spokojne rozstrzygnięcie sprawy.

Następnie wyszła cała młodzież przed uniwersytet, gdzie przemówił do niej p. Widomski, zdając sprawę z przebiegu deputacyi. Odpowiedź rektora przyjęła młodzież oklaskami i brawami, poczem wzniesiono okrzyki na cześć senatu i na cześć polskiego uniwersytetu (właśnie tę chwilę wyobraża ostatnia z naszych fotografij).

Po tej poważnej, pełnej godności manifestacyi, ruszyła młodzież pochodem w sąsiednią ulicę Mochnackiego pod dom, w którym mieszka raniony podczas rozruchów hajdamackich sekretarz i prof. uniw. dr. Winiarz i urządziła mu również serdeczną owacyę.



Fot. umyślnie dla »Now. Ill.« N. Lissa, nadw. fot. we Lwowie.
Hajdamacy na lwowskim uniwersytecie: Zdemolowana przez Rusinów sala konferencyjna na uniwersytecie.

Pierwsza jubilatka w polskiem dziennikarstwie.

W ubiegłym tygodniu w Warszawie obchodzono rzadki jubileusz: pierwszej kobiety-dziennikarki w Polsce, pracującej zawodowo w prasie tamtejszej od lat 25. Tą jubilatką jest Bronisława Neufeldówna, której fotografię najświeższą zamieszczamy dzisiaj.

Zawód swój p. Neufeldówna rozpoczęła w „Nowinach“, gdzie pracowała później pod kierunkiem Bolesława Prusa. Była to w owe czasy pierwsza dziennikarka polska, dziennikarka właściwa, to jest żyjąca całkowicie ze swych zajęć zawodowych. Przed nią mieliśmy utalentowane literatki, które dorywczo pomieszczały swe utwory w dziennikach; Neufeldówna zapisała się do stałego sztabu dziennikarskiego i

nie opuściła go do tej pory. — Wstąpiwszy po zamknięciu „Nowin“, do „Gazety Polskiej“, pracowała w niej, jako tłómaczka utworów obcych i redaktorka kroniki zagranicznej przez dwadzieścia trzy lata. — Te same działy objęła w „Kuryerze Codziennym“ i w „Kuryerze Warszawskim“, a wreszcie na stałe w „Gazecie Handlowej“, a po przekształceniu jej w „Nowej Gazecie“ i w „Ludzkości“. W „Prawdzie“ p. Neufeldówna prowadziła za czasów redakcyi Świętochowskiego sprawozdania z ruchu muzycznego, a w „Tygodniku Illustrowanym“ była przez wiele lat referentką kroniki literackiej. Wykształcona gruntownie, znająca kilka języków obcych, Neufeldówna była w każdej redakcyi upragnioną współpracowniczką, z niezwykłą bowiem sumiennością, znajomością rzeczy i rutyną mogła prowadzić rozmaite działy redakcyjne. Śledząc czujnie rozwój literatury europejskiej, p. Neufeldówna przyswoiła językowi polskiemu kilkadziesiąt utworów powieściowych angielskich, niemieckich, francuskich i włoskich.



Pierwsza jubilatka w polskiem dziennikarstwie: Bronisława Neufeldówna.

Publiczność nie zdaje sobie sprawy z tego, co znaczy taki fakt, jak dwadzieścia lat nieprzerwanej pracy dziennikarskiej, ile w to wchodzi energii i mozołu. Warto uczynić rzeczowe obliczenie dotychczasowej pracy p. Neufeldówny: otóż pisząc dziennie do druku po 200 conajmniej wierszy, dzisiejsza jubilatka, przez lat 25 ogłosiła drukiem co najmniej 250 tomów po 7200 wierszy!

Ile w tej pracy bywa chwil niewdzięcznych, zrozumie ten jedynie, kto bliżej z pracą zawodową dziennikarza miał do czynienia. P. Neufeldówna zasłużyła sobie na głębokie uznanie kolegów nietylko gatunkiem swego współpracownictwa, ale jako koleżanka pełna usłużności, dobroci i szlachetności.

Zgon zasłużonej artystki.

Serdeczny żal wywołała w polskich kołach teatralnych śmierć Maryi Pankiewiczówny w Warszawie. Po długiej a ciężkiej chorobie, która ją od sunęła od ukochanej sceny, umarła ta sumienna i utalentowana artystka po gorzkich zawodach życiowych, które częściej łzy z jej oczu wyciskały prawdziwe — aniżeli te sztuczne w dramatycznych sytuacyach na deskach teatru..

Wykształcona w znakomitej szkole Deryngi, śp. Pankiewiczówna pracowała kolejno na scenach Poznania, Lwowa i Łodzi, jako wyborna bohaterka dramatyczna, ceniona zarówno przez publiczność, jak krytykę. Uznawano w niej talent szczery, o szlachetnych aspiracyach. Z Łodzi przeniosła się wreszcie do Warszawy i przez szereg lat ostatnich pracowała w teatrze Ludowym, gdzie młodszym koleżankom świeciła przykładem, jak należy nosić sztandar sztuki.

Wśród kolegów pozostawiła jak najlepsze wspomnienia. Niechaj jej ziemia będzie lekką!



Zgon zasłużonej artystki: Śp. Marya Pankiewiczówna.

Napad na skład fabryki Poznańskiego.

(Do portretu na stronie 15).

Przy ulicy Gęsiej w Warszawie mieszczą się składy hurtowne słynnej fabryki łódzkiej Tow. akc. J. K. Poznański. Składy zajmują we własnym domu obszerny lokal na parterze od frontu, a personal składa się z dwudziestu kilku pracowników. Otóż w poprzednim tygodniu składy te stały się widownią krwawego zdarzenia. Wieczorem przed siódmą godziną wszedł tam jakiś mężczyzna, który zapytał jednego z subjektów o zarządzającego składem. Przybyszowi wskazano kierownika, do którego ten zaraz podszedł i doręczył mu kartkę, poczem cofnął się z powrotem ku drzwiom i dał jakiś znak tajemniczy. W tej chwili drzwi otwarły się z hałasem i przez nie wbiegło do składu kilkunastu młodych ludzi. „Nie ruszać się z miejsca“ — rozległa się komenda, a wtedy jedni z napastników zaczęli strzelać z rewolwerów, inni wskoczywszy na stoły, zaczęli oblewać towary kwasem siarczanym. Powstał popłoch nie do opisania. Subjekci kryli się, gdzie mogli, po kątach, a komu się udało, uciekał do sąsiedniego pakameru i stamtąd do piwnic. Podczas strzelaniny w składzie padł trupem jeden ze współpracowników, Adam Presburger, któremu kula przeszyła serce. Jednego z pracowników miejscowych, przy oblewaniu towarów kwasem siarczanym, poparzono boleśnie; zwłaszcza ucierpiały twarz i szyja. Napastnicy rozbiegli się, zanim zdołano zawezwać policyi. Przybyłe Pogotowie ratunkowe opatrzyło poszwankowanych. Zabity Presburger, (przypadkowa ofiara napadu) którego podobiznę podajemy w dzisiejszym numerze, zginął w 32 roku życia, osierociwszy żonę i czworo dzieci.

Jak łatwo się domyśleć, pobudki napadu na składy przy ul. Gęsiej w Warszawie wiążą się z zapoczątkowanym właśnie przez fabrykę Poznańskiego lokautem fabrykantów łódzkich.



Fot. dla »Now. Ill.« N. Lissa, nadworny fot. we Lwowie.

Hajdamacy na lwowskim uniwersytecie: Manifestacya polskiej młodzieży na cześć rektora Gryzieckiego, po znieważeniu wszechnicy przez Rusinów.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

8 Ciąg dalszy.

— Co tu gadać długo — zawołał Wasyl Wasyliewicz — gdyby nie my, naczalstwo, widzielibyście ten spokojny powiat w ogniu rewolucyi. Dawniej każdego mogłeś owinąć o palec, a dziś jaki taki sukin syn stawia się, krzyczy, mówi o skardze.. no, ale to z nami sprawa! nie słuchasz, tak i sztraf.

— Chcieliście powiedzieć Wasylu Wasyliewiczu, nie dajesz pieniędzy, to i sztraf — śmiał się Jegorow.

— Wam żarty w głowie — nachmurzył się naczelnik, — a nasz powiat z całej gubernii pierwszy ściągnął podatki.

— I dużo tego? — spytał Kola?

— Oj, byłoby z czego pohulać — śmiał się naczelnik, — bo w kasie było dzisiaj 547 tysięcy rubli.

Cyfra zrobiła wrażenie, a Jegorow westchnął:

-- Przy takiej kasie można się pożywić — i spojrzał nie bez zazdrości na naczelnika.

— Ba, żeby to własna — westchnął naczelnik — ale pod rachunkiem muszę oddać do kasy gubernialnej i kopiejki nie uwidzisz, aż żal wysyłać taki pieniądz. Ale co poradzisz?

— To i wysyłajcie — odezwał się Saleckij, oficer, szczupły brunet — bo pieniądz to łakoma rzecz i nudzą się sołdaci na poscie.

— A cóż innego mają do roboty? — westchnął Wasyl Wasyliewicz — to nie to, co nasi strażnicy!... A jakże wam się podobało nasze miasteczko? — zwrócił się do Bala — po Warszawie to lichota, co? I nudno wam?

— W towarzystwie panów wcale się nie nudzę — odparł bardzo uprzejmie.

— Hm... to teraz, ale wy bez mała pół dnia przesiedzieliście tutaj.

— Mieliśmy interes do załatwienia — powiedział obojętnie.

— Ot dziwno... wy, panowie tu z interesem? Może po zakupno? — śmiał się dobrodusznie.

Zrozumiał Bal, że jest indagowany, więc spokojnie mówił:

— Nie wyjeżdżalibyśmy z Warszawy, gdyby nie Landwerowo, mamy tam sumy ulokowane.

— No, tak pożegnaj się z niemi — zaśmiał się Wasyl Wasyliewicz — a pytaliście się o nie?

— Byliśmy u adwokata — wymienił nazwisko — i może się uda odzyskać.

Naczelnik, któremu już trunek zaszumiał w głowie, znudzony tą rozmową, zawołał rozpinając mundur:

— Dajcie spokój, Wasylu Wasyliewiczu, ot i dokażali wam, po co tu przyjechali. to sławni chłopcy... a możeby tak w karty? Co?

Propozycya została przyjęta z zapałem zwłaszcza ze strony oficerów i Saleckij zawołał:

— Dziś mam noc wolną... chcę wygrać, bo jutro służba.

— E, jaka tam u was służba — wzruszył ramionami Wasyl Wasyliewicz tasując karty.

— Ach brat ty mój, jutro dyżur... hauptwach, rozumiesz?

— Nie daj tylko takiego parolu, jak w zeszłym tygodniu — śmiał się sztabskapitan — wyobraźcie sobie, że dał parol żołnierzom: „Wiera — Krasawica“, ot zakochany, dowiedział się nasz stary i dał mu dał bobu.

Wszyscy się zaśmiali a Saleckij rzekł z grymasem niechęci:

— Nie trzęście waszych brzuchów.., dałem taki parol, bo mi się podobało, a teraz stary musiał sam głowę suszyć i ruszył konceptem.

— No? — spytał Jegerow.

— Ot muszę uczyć sołdatów, bo dał „Plewna-Warszawa“, czort bierz taką służbę.

— I on to służbą nazywa — drwił Wasyl Wasyliewicz.

— Tylko bez kłótni — upomniał naczelnik — jak gra, to gra.

Do sztosa zasiedli także Bal i Kola, który nie bez zdziwienia śledził zachowanie się Bala, rozmawiającego swobodnie, pijącego dużo. Gdy zrazu małe stawki zaczęły wzrastać, spostrzegł Kola, że przyjaciel stosunkowo dość znaczne sumy przegrywa, to do jednego, to do drugiego naczelnika, co zresztą zjednało mu u nich dużo względów.

Było już dobrze po północy, gdy towarzystwo ruszyło od stolików, a naczelnik rozczulony trunkiem i wygraną mówił do Bala:

— Z was sławnyj mołodiec, tak dam wam rewanż.

— Nie wiem, czy będę mógł...

Wymówka nie skutkowała i cała kompania z wyjątkiem Saleckiego zobowiązała się pod słowem honoru stawić się jutro u Szaji.

— Cóżeś taki uśmiechnięty? — spytał Kola, gdy wracali do zajazdu.

— Nie straciłem dnia.

— Czyż i jutro będziesz grał w karty?

— I ty i ja z całą przyjemnością, przez całą noc jutrzejszą.

— Więc kiedyż z kasą? — zdziwił się.

— Jutro.

— Gdybyś nie miał nic przeciw temu, byłbym jutro na naradzie z towarzyszami.

— Jedna głowa więcej, tem lepiej — zaśmiał się, — a teraz spać.

Gdy o umówionej godzinie przyszedł do zajazdu Młot, zastał obu przyjaciół pijących herbatę.

— Siadajcie towarzyszu — zapraszał Bal — może pozwolicie herbaty? — i postawił nalaną szklankę.

— Dziękuję... jeszcze nic w ustach nie miałem...

— Cóżeście tacy chmurni? — spytał Kola.

— Bo i nie jest wesoło — westchnął — znów zabrali nam dwóch towarzyszy.

— Kiedy? za co? — zapytał Bal.

— Była rewizya u ich gospodarzy i jako niemeldowanych aresztowano. Zostało nas dziesięciu...

— Że niemeldowani? Nie, towarzyszu, musiało zajść co innego...

W tej chwili wszedł Marceli, a gdy Bal zwrócił się z tem pytaniem do niego, odrzekł:

— Znaleziono też trochę naszych gazet i zaaresztowano wszystkich z tej izby, zostały małe dzieci, ale znalazły opiekunkę w sąsiadce.

— No stało się... wypuszczą ich... a w każdym razie dajcie mi ich paszportowe nazwiska — wziął notes i zapisał — siadajcie, pijcie herbatę a tamci dwaj przyjdą tutaj.

— Tylko co ich nie widać — a na stuk przy drzwiach dodał: — otóż i oni.

Zasiedli przy stole, a jasne słońce jesienne oświetliło przez szerokie okno cały pokój. Twarze Młota i dwóch towarzyszy były chmurne i skupione w sobie, gdy Marcelek patrzał jasno i wesoło, a usta jego każdej chwili były skłonne do śmiechu. Bal i Kola ubrani jak zazwyczaj wytwornie, stanowili dziwną sprzeczność z towarzyszami tak pod względem ubrania, jak i całego tonu zachowania się.

Wśród chwilowego milczenia odezwał się Marceli głosem czystym:

— Towarzyszu Balu, byłem już w kasie, wymierzyłem wszystko. Kraty grube, ale dadzą się przepiłować przy pilnej robocie. Okiennice puszczą, ale z kasą bieda, wmurowana, straszecznie ciężka... i chyba jeden Jan da z nią sobie radę.

Spojrzano na mówiącego z miłem zdziwieniem, aż wreszcie wtrącił się Młot:

— Jeszcze ósmej niema — spojrzał na zegarek — i byłżebyś już tam?

— A juści! Spenetrowałem dokumentnie, nawet miarę grubości wziąłem. Jak robić, to robić a nie zwlekać.

— Dzielny z was towarzysz — podał mu Bal rękę.

Marceli widząc zdziwienie towarzyszy, cieszył się i mówił bez żadnej chełpliwości:

— Wiadomo wam, że znałem to miasto i myślę sobie, a nuż trafię na znajomego przy kaznacejstwie. Tak się i stało... znalazłem znajomą dziewczynę, która służy u woźnego z kasy... no i ona zamiatała w kancelaryi... I w ten sposób dowiedziałem się wszystkiego.

— Jest już i kobieta — mruknął Wawrzek — wygada się i będziesz dyndał.

— Ee, nie taki ja głupi — zaśmiał się — zna ona tylko moje imię i wie, że wracam ze wsi do Białegostoku, gdzie też swego czasu pracowałem...

— Toś przemyślny — pochwalił go Młot — a teraz daj miarę.

Wszyscy czterej towarzysze zaczęli się naradzać. przemyśliwać, obliczać i wreszcie wypadło, że pracując pilnie można dostać się do środka kasy ogniotrwałej za godzinę i minut dwadzieścia.

— Mówimy o skórze, a skóra na niedźwiedziu — rzekł Młot — a żołnierze to co?

— Sprzątnie się cicho — powiedział Marcin i podniósł dwie muskularne ręce.

— Niepotrzebny przelew krwi — odezwał się Kola — czyż to ich wina, że postawiono ich na straży?

— A my mamy się dać wystrzelać jak kaczki? — obruszył się Wawrzek.

— Zakneblować ich i kwita — zawołał Marcelek.

— A jeśli który strzeli i zaalarmuje całe miasto — mówił z namysłem Młot — jednego można zmódz i związać, ale dwóch trudno.

— Towarzysze — zaczął Bal — my socyaliści nie zabijamy nikogo, chyba w obronie własnego życia. Ci sołdaci są niewinni i może znajdziemy sposób uczynienia ich nieszkodliwymi.

— Słuchamy — mruknęli.

— Przypadkowo dowiedziałem się, jakie będzie hasło i odzew od południa dzisiejszego; można więc bezpiecznie zbliżyć się do straży i albo ich rozbroić, albo nakłonić na wódkę.

— Hm... niezła myśl — odezwał się Marceli — tylko cywilny nic nie zrobi. Służyłem w wojsku i wiem, że to trudna sprawa.

— Mam ze sobą — mówił Bal dalej — dwa mundury podoficerskie...

— Górą nasza — zawołał Marceli — już ja ich wyprowadzę... moja w tem głowa... Za godzinę spoję ich bez pamięci, a dla niepoznaki zwiążę jak baranów...

— Ja ci dopomogę — dodał Wawrzek.

— Gdyby jednak nie udało się zabrać ich z posterunku... to rozbroić i zakneblować — rzekł Bal — a wy towarzyszu Marceli dobierzcie sobie do pomocy.

— To się wie.

— Druga sprawa nie mniej ważna. to zmiana posterunków straży. Kto z was podejmuje się zwrócić żołnierzy, idących na zmianę?

Milczeli spoglądając na siebie, wreszcie Młot rzekł:

— Może podejmie się Michał, co to pojechał na wieś, bo to sprytny chłop... a nie będzie on... zrobię sam.

— Idzie towarzyszu o to, aby tych sołdatów odesłać gdzieś o wiorstę z miasta... jakaś rewizya, aresztowanie, czy coś takiego.

— Coś się wymyśli — uśmiechnął się Młot — niedarmo służyło się w wojsku, bylem wiedział nazwisko dyżurnego oficera.... ale od czego język?

— Oficer nazywa się Saleckij, jednak trzeba sprawdzić. Hasło jest: „Plewna“, a odzew: „Warszawa“.

Towarzysze spojrzeli na niego z niekłamanem uznaniem a Bal czuł, że ufają mu ślepo i każdy rozkaz wypełnią bez wahania.

— Robota zaczyna się o dziesiątej. Towarzysz Marceli w ten czy ów sposób załatwia się z posterunkiem. Straż będą pełnili trzej towarzysze, jeden przed budynkiem, a dwaj o jakie sto kroków na szosie przed i za domem, tu są gwizdki... używać tylko w ostateczności... Towarzysz Młot i pięciu towarzyszy wezmą się do roboty, ale piętnaście minut przed jedenastą Młot stanie na straży, aby odprawić luzującą wartę. Towarzysze pomiędzy sobą ułożycie, kogo postawić na straży. O godzinie szóstej przy kościele zobaczę się z towarzyszem Marcelim i dowiem się szczegółów.

— Opuściłeś mnie towarzyszu — odezwał się Kola.

— Ty będziesz bardzo potrzebny, ale nie przy kasie — uśmiechnął się Bal.

— A jak zabierzemy pieniądze, kto przewiezie je do Warszawy? — spytał Młot.

— Wczoraj było w kasie 547.000 rubli, część pewno w papierach część w złocie. Musimy rozdzielić pieniądze, aby w każdym razie, jeśli nie całość, to część doszła do naszej kasy partyjnej. Złoto, jako zbyt widoczne i ciężkie bierzemy z towarzyszem Kolą; papiery część weźmie towarzysz Młot, a drugą towarzysz Marceli, dlatego im powierzam, bo stosunkowo będą mniej zmęczeni, aniżeli inni i znają drogi. Po zabraniu pieniędzy rozproszymy się towarzysze. Ja i towarzysz — wskazał na Kolę — zostaniemy na miejscu...

— Niepodobna — zawołał Wawrzek — wy jesteście zbyt potrzebni partyi, nie możecie się narażać.

— Tak... słusznie... — mruknęli inni.

— Moi towarzysze — uśmiechnął się Bal — życzę wam szczerze, abyście byli tak bezpieczni, jak my dwaj. I jeszcze raz powtarzam wam, a wy powiedzcie innym, że każda nieostrożność, każde

zaniedbanie grozi śmiercią. Nie radzę żadnemu siadać na kolej w Szepetowie. Upatrzcie sobie furmanki, byle nie w mieście lecz w okolicznych koloniach i sześciu towarzyszy ruszy na odmiennych drogach w kierunku Czyżewa lub Małkinii, a czterech, to jest dwóch towarzyszy oraz Młot i Marceli z pieniądzmi w kierunku Białegostoku. Zrozumieliście towarzysze?

— To jasne — rzekł Marceli — a ponieważ idzie o własne gardło, każdy dopilnuje się sam.

— Na konie i na wydatki nie zwracajcie żadnej uwagi. Może trzeba wam pieniędzy?

— Ej nie, byle was nie spotkało co złego — westchnął Wawrzek.

— O mnie nie troszczcie się, a w Warszawie jutro o godzinie dziesiątej w nocy spotkam was towarzysze, Młota i Marcelego, w cukierence naszej na Marszałkowskiej.

— Dobrze, będziemy — odrzekli.

— O ile żywi zostaniecie — dorzucił Wawrzek.

— Nic nam nie będzie — zaśmiał się Marceli.

— Zatem towarzysze pamiętajcie: nie pokazywać się tu w miasteczku, o ile można; wypatrzeć furmanki; rozstawić straże; o szóstej przy kościele; o dziesiątej dom kasy.

— A mundury? — spytał Młot.

— Macie pewne schronienie, aby się przebrać?

— Mieszkam u naszego z partyi — rzekł Marceli — ten nie zdradzi.

— Więc zabierzcie — wskazał na przygotowaną paczkę — i wychodźcie nieznacznie ze zajazdu.

— Wiesz Balu — uśmiechnął się Kola, gdy za ostatnim towarzyszem zamknęły się drzwi — zaczynasz mi imponować swoim sprytem, no, i ktoby się spodziewał, że ty, taki ugrzeczniony, urękawiczniony pan zabierasz kasę.

— W tem sztuka — zaśmiał się Bal — a teraz bądźmy europejczykami i za grzeczność grzeczność... Idziemy z wizytą do naczelników i prosimy ich na śniadanie.

— Pomysł świetny, tylko że oni wściekle piją. Wczoraj musiałem przywoływać całe niebezpieczeństwo naszego położenia, aby zostać trzeźwym.

— Dziś ułatwię ci to zadanie — uśmiechnął się — bo musimy być bardzo spokojni i stać na straży, zwłaszcza wobec Wasyla Wasyliewicza, ten nas obwąchuje.

— Za brutalnie.

— To prawda, ale niebezpiecznym zawsze może zostać.

W pół godziny później obaj naczelnicy wraz z Kolą i Balem zasiedli u Szaji.

Przyniesiono wódkę.

— Kola i ja — rzekł Bal jako gospodarz śniadania — przyzwyczajeni jesteśmy do słodkiej wódki, nie wiem, czy panowie?

— To wy już pijcie waszą a my naszą — zawołał naczelnik — nie znoszę słodkiej.

— A może angielskiej pozwolicie panowie?

— Nie, my szczerą ruską pijemy, co to grzeje i chłodzi — śmiał się Wasyl Wasyliewicz.

Nalano kieliszki, a gdy Kola wypił, z trudem powstrzymał grymas niesmaku; była to bowiem tak rozcieńczona wódka, że straciła wszelki smak.

Rozmawiano o grze wczorajszej i naczelnik, ofiarując się z rewanżem, znów zobowiązywał do gry dzisiejszej.

— Jeśli pan naczelnik sobie życzy, stawimy się tu o ósmej wieczorem... a sztabskapitan będzie? — zwrócił się Bal do Wasyla Wasyliewicza.

— Ten nie opuści partyi... ale ja nie będę, żal ale nie mogę.

— Czy wolno wiedzieć przyczynę — spytał Kola uprzejmie.

— Ot służba.

— Głupstwo! — zaśmiał się naczelnik — jakaż to służba nocą?... Chyba nie u żony, bo wysłużyliście swoje.

— Wam żarty — uśmiechnął się Wasyl Wasyliewicz — a ja wam mówię, że służba i koniec.

Naczelnik wypił kieliszek mocnej i zagryzając ogórkiem, mrugnął okiem znacząco i rzekł:

— Wiem już jaka służba... wy Wasylu Wasyliewiczu skąpy człowiek, wygraliście wczoraj, to dziś boicie się stracić, ot w tem rzecz — i śmiał się głośno.

Kola i Bal dyskretnie słuchali, lecz byli trochę zaniepokojeni tą pilną służbą naczelnika straży ziemskiej i Kola, śmielszy jako Rosyanin, zaczął:

— Ach Wasylu Wasyliewiczu, wiem ja, że to żarty pana naczelnika... a swoją drogą my daliśmy słowo honoru, że tylko w tej samej kompanii będziemy grali... niema was, to i po słowie.

— Jak Boga mi, tak nie mogę, służba każe, to i muszę — uderzył się w piersi Wasyl Wasyliewicz.

— Jaka szkoda — westchnął Bal — jutro musimy być w Warszawie... i nawet rewanżu nie będę miał.



— Siadajcie towarzyszu — zapraszał Bal — może pozwolicie herbaty?

— Czy zwaryowaliście, Wasylu Wasyliewiczu — zawołał naczelnik zaczerwieniony — psuć całą kompanię dla błahego wymysłu waszego! Służba — splunął silnie — toż ja naczelnik i znam się na tem... — a widząc uporczywy spokój na twarzy naczelnika straży — no, gadajcie, jaka to służba? Gdzie?

— Hm.. kiedy każecie, to powiem, chociaż to rzecz urzędowa,

— My swoi... mówcie!

— Dziś w nocy starszy strażnik Dymitrow wskutek donosu zrobił rewizyę w jednym domu i znalazł gazety rewolucyjne, proklamacye...

— E, to chleb powszedni — zaśmiał się naczelnik.

Wasyl Wasyliewicz, nie zważając na przerwę, mówił dalej:

— I zaaresztował przy tej sposobności dwóch ludzi obcych..,

— Jacy? Skąd? Ich pasporty? — ożywił się naczelnik.

— Pasporty w porządku, tłomaczą się, że przyjechali na jarmark... i nie wyglądają podejrzanie, ale dla przykładu przytrzymam ich kilka dni.

— Gdzież wasza służba?

— Zaraz będzie — uśmiechnął się, gładząc krótką brodę — tak ja i pochwalił Dymitrowa i kazał, aby miał w pogotowiu dziesięciu strażników... nu i my zrobimy obławę dzisiaj.

— Macie jakie podejrzenie?

— Hm... niby nic, a coś jest. Ktoś rozlepiał odezwy... no uciekł on — spojrzał bokiem na Bala — znów dwóch przytrzymano...

— Ot, gdyby przyszło uważać na takie drobnostki, nie spalibyście w roku ani jednej nocy — śmiał się rozpogodzony naczelnik — myślałem, że czort wie co, a to głupstwo.. możecie bezpiecznie zagrać partyę, a sam Dymitrow zrobi, co każecie...

— Chciałoby się być z wami w kompanii.. ale jakoś nie wypada.

— Wasylu Wasyliewiczu — śmiał się Kola — gdybyście byli na służbie w Warszawie, to ni godziny, ni minuty nie mielibyście spokojnej z waszem usposobieniem. Wam siedzieć w klasztorze, ale nie na służbie.

— Nu, kiedy już tak siłujecie, zostanę z wami i pohulamy.

— Ot tak, to lubię — śmiał się naczelnik — i wypijmy po kieliszku na zgodę.

W tej chwili odezwał się bęben wojskowy.

— Tak nasz Saleckij na służbę idzie — zwrócił uwagę Wasyl Wasyliewicz zbliżył się do okna zdziwiony — słyszycie, to nie Saleckij, inny jakiś..

Wszyscy podeszli do okna, a naczelnik zawołał:

— Prawda, to nie Saleckij... to Martynow, o ten to gracz zapalczywy i pije zdrowo. Szkoda! Ten w sam raz byłby do naszej kompanii.

I Bal i Kola spochmurnieli, sprawa wikła się coraz bardziej i Dymitrow ze strażnikami i inny oficer, więc może inne hasło dzisiaj... Ulicą przechodził właśnie sztabskapitan Jegorow, naczelnik zapukał w okno i wkrótce wszedł z wesołym uśmiechem oficer.

— Nu, wy rano zaczynacie!... Witajcie! Zostawiliście dla mnie przynajmniej kieliszek?

Zaproszono go do stołu i wśród pogadanki spytał naczelnik:

— Co się stało ze Saleckim?

— Udał chorobę, bo przyjechała do niego kochanka, Wiera krasawica — śmiał się — i uprosił na zastępcę Martynowa.

— A stary się zgodził? — dziwił się Wasyl Wasyliewicz.

— Nu, i on przecież człowiek i on był młody... zrozumiał rzecz i pozwolił.

— To może i Saleckij przyjdzie na partyę — odezwał się Wasyl Wasyliewicz.

— E, on ma dziś inną partyę — zaśmiał się grubo Jegorow — widziałem ją, naprawdę krasawica... taki sukin syn ma jednak szczęście.

— Mieliśmy i my — uśmiechnął się melancholijnie naczelnik.

— Ale pić możemy zawsze — rzekł Jegorow, nalewając kieliszki.

— Prawda.

Dopiero przyjście posłańca ze zajazdu z wiadomością, że konie od pana Żegielskiego czekają, przerwało obfite śniadanie.

Zamówiwszy w zajeździe stancyę, wsiedli do powozu, obydwaj chmurni i bez humoru.

— Niepokoi mnie ten Dymitrow — odezwał się Bal — koszary straży ziemskiej są za budynkiem skarbu, jeśli ruszą na połów po dziesiątej, mogą nam przeszkodzić a nawet udaremnić całą robotę.

— Nie licząc schwytania — westchnął Kola — no i licho przyniosło właśnie dziś tę Wierę krasawicę.

— A tak — mruknął nachmurzony Bal.

— Wiesz, hasło normalnie nie zmienia się, gdy raz zostało wydane, ale na prowincyi, w takiem gnieździe, wszystko możliwe i co było dla Saleckiego dobre, może być złe dla Martynowa.

— Hm... nieszczególnie... a tak szło na razie dobrze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Najwyższy order republikański.

Chociaż od lat trzydziestu kilku istnieje już we Francyi republikańska forma rządu, mimo to do dziś dnia Francuzi nie pozbyli się pewnego zamiłowania do świetności zewnętrznej form monarchicznych. Właśnie z owych dawnych czasów pozostały u nich nawyczki w tym rodzaju jak np. szczególne zamiłowanie do wszelkich odznak honorowych. Wiadomo przecież, iż marzeniem każdego Francuza jest kawałeczek wstęgi czerwonej lub fioletowej przy surducie, z których pierwsza „dekoracya" jest odznaką Legii honorowej, druga zaś Palm akademickich. Na te odznaczenia czeka cała Francya niecierpliwie w pierwszych tygodniach po Nowym Roku. Rada Legii honorowej w Paryżu odbiera tysiące podań o udzielenie tej odznaki, ale rozstrzyga o tem minister, który ze swej strony daje własne propozycye. Skutkiem tego kandydaci po większej części wiedzą już naprzód o honorze, jaki ich spotka. Większy jednak niepokój panuje o tej porze wśród kandydatów do Palm akademickich, o które co rok ubiega się kilkadziesiąt tysięcy osób, uznających się godnymi takiego odznaczenia. Tymczasem rząd nie udziela na raz nigdy więcej wstęg fioletowych nad trzy tysiące. Jakiś nauczyciel w zapadłej wiosce jest nie mniej dumnym z ofiarowanej mu przez rząd republikański wstążeczki fioletowej — jak uczony profesor paryskiej Sorbony, znakomity generał, lub wielki przemysłowiec, który dostał Legię honorową w postaci wstęgi czerwonej do klapy surduta. Wyższe stopnie Legii honorowej są tak nieliczne, iż otrzymują je tylko niezwykle wybitne osobistości. Na przykład „Wielki krzyż" z reguły bywa co rok udzielany zaledwie jednej osobie i to już bardzo głośnej i bardzo zasłużonej. W tym roku dostał go świeżo Wiktoryn Sardou (którego widzą Czytelnicy na załączonej fotografii, siedzącego z wnuczkiem na kolanach). Już przed wielu, wielu laty powinna była ta wysoka dekoracya spotkać sławnego i znakomitego komedyopisarza francuskiego, któremu czerwoną wstęgę przyznano nareszcie dzisiaj, gdy wielki pisarz liczy lat 75 zasłużonego żywota. Sława jego rozbrzmiewała przed paru dziesiątkami lat, nietylko w ojczyźnie poety, ale w całej Europie, bo nie było kraju, w którym by komedye Wiktoryna Sardou nie zdobywały sobie powodzenia scenicznego. Z czasem inne bogi przyszły na scenę we Francyi i w innych krajach. Ale po dziś dzień, gdzie tylko teatr wznowi komedyę tego mistrza techniki scenicznej, publiczność jest zadowolona, a krytyka, mimo, że coś przebąkuje, jakoby te sztuki myszką już trąciły, nie może się powstrzymać od wyrazów szczerego hołdu dla wielkiego talentu komedyopisarskiego, na którego dziełach kształciły się legiony dramaturgów. W ostatnich latach Sardou — twórca 55 komedyj napisanych w ciągu 57 lat — odpoczywa w zaciszu rodzinnem na laurach, zapewniwszy sobie piórem na starość nietylko dobrobyt, ale i milionową fortunę, którą przyniosły mu tylko jego dzieła.



Najwyższy order republikański: Ozdobiony wielkim krzyżem Legii honorowej, sławny komedyopisarz francuski Wiktoryn Sardou, ze swym wnukiem.

Zamiast cmentarzy.

Śmierć ma swoje szczególne prawa i wymagania, jako najpotężniejsza i nieubłagana monarchini, panująca nad wszystkiem, co żyje. Jej zupełnie obojętną rzeczą jest, kto gdzie i jak ginie pod uderzeniami niezawodnej kosy. Dla tych jednak, którzy żyją, a mają obowiązek pochowania ciał zmarłych, nie jestto kwestya tak łatwa. I tak np. wiadomo, że na niektórych wyspach Australii, gdzie dotąd istnieje ludożerstwo, obowiązkiem było dzieci zjeść ciała swych rodziców, skoro pomarli. Ci rodzice, czując, że śmierć się zbliża, żądali nieraz od dzieci, aby im zgon przyspieszyły.

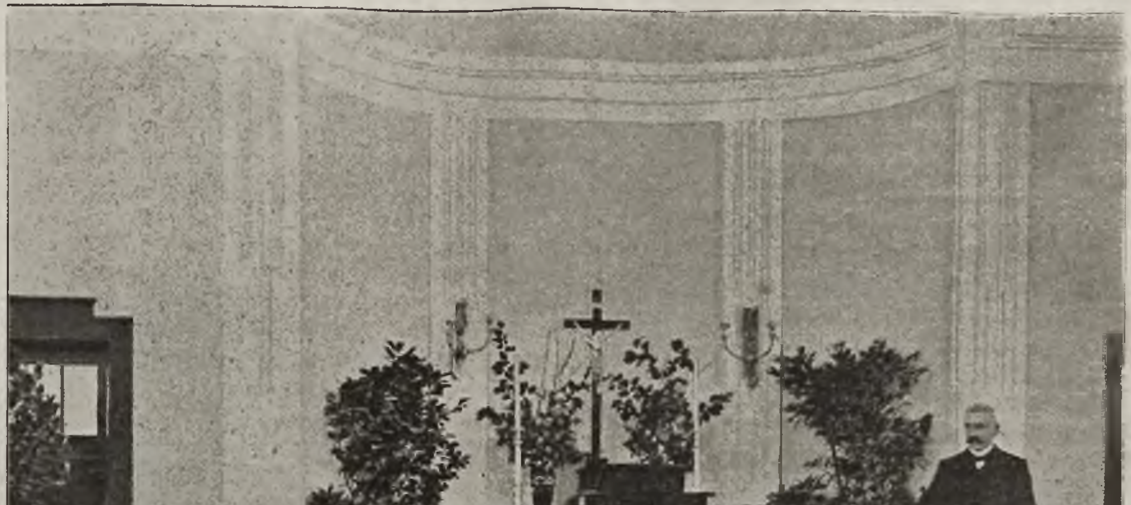
Jak daleko od tego są od tysięcy lat zachowane mumie egipskie — nie warta nawet tłomaczyć. Chociaż i o tem należy pamiętać, że zarówno u Greków, jak i u Rzymian, od których wzięliśmy przeważnie naszą kulturę, jedynym normalnym sposobem załatwiania się z ciałem nieboszczyka, było jego spalenie na stosie. Jest to widocznie najdawniejszy sposób, bo przecież dotąd zachował się u Hindusów, tego najstarszego szczepu z pomiędzy ludów aryjskich.

Ludy semickie przeciwnie — jak daleko sięgają tradycye pisane i ustne — chowały swych nieboszczyków w ziemi. Ten zwyczaj przeszedł następnie do religii chrześcijańskiej, która chociaż nie uczyniła zeń dogmatu, jednakże nie godzi się na palenie ciał po śmierci. Kościół katolicki na tym punkcie wydał już kilkakrotnie swą „narazie" nieodwołalną opinię — a kościoły protestanckie również były tego samego zdania.

Pierwsze próby palenia ciał czyniono już w r.



Zamiast cmentarzy: Nowe krematoryum w Chemnitz, w Saksonii.

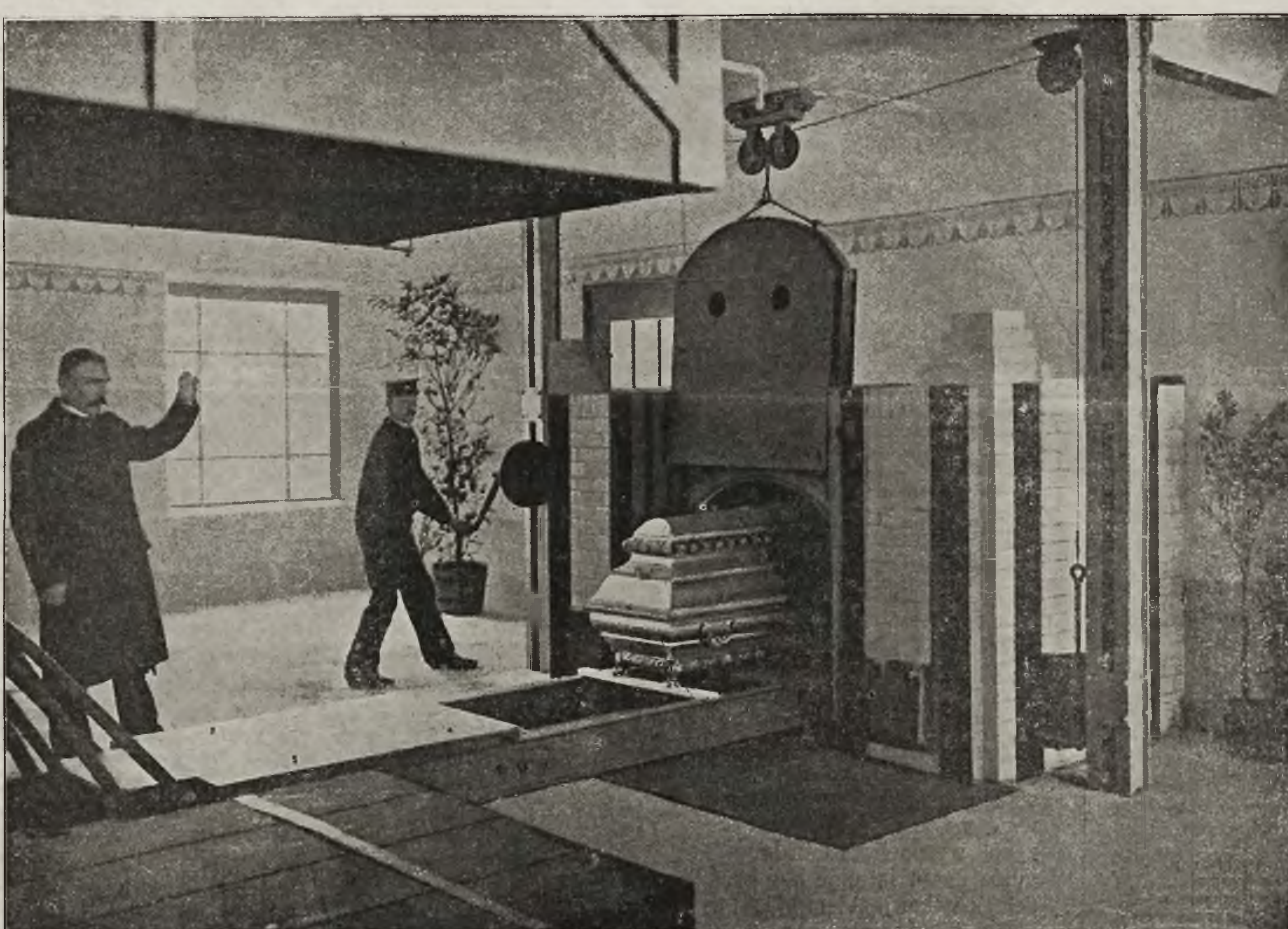


Zamiast cmentarzy: W krematoryum trumna zapada się do podziemia, gdzie umieszczony jest piec gazowy.

1872, dopiero jednak, gdy Fryderyk Siemens wynalazł sposób szybkiego palenia zwłok, kwestya ta weszła na tory właściwe. Pierwsze krematoryum zbudowano w Gotha, w Niemczech, gdzie pierwsze zwłoki spalono w 1878 roku, następnie zaś pobudowano krematorya we Włoszech, Anglii, Ameryce północnej itd.

Dotąd rząd saski opierał się mocno zaprowadzeniu krematoryów. W końcu jednak uległ prądowi czasu i na otwarcie takiego krematoryum w Chemnitz pozwolił.

Z podanej obok fotografi widać, jaki to piękny budynek i jak odpowiada swemu celowi. Koszta spalenia zwłok są wprawdzie dotąd dość wysokie, wynoszą bowiem one do 150 marek, jednakowoż jest nadzieja, że się obniżą w miarę zwiększenia się kremacyj. Na drugiem z podanych zdjęć widać chwilę, gdy trumna zapada się w podziemia, a na trzecim, gdy z tych podziemi zostaje skierowaną do gazowego pieca Tam przy gorącu, wynoszącem 850° zwłoki po pięciu godzinach zamieniają się w popiół.



Zamiast cmentarzy: Trumna dostaje się do pieca w krematoryum.

Brudna afera.

Każdemu zwykłemu śmiertelnikowi już jest nieprzyjemnie, gdy zmuszony jest wchodzić w styczność z sądami; cóż dopiero jednak sądzić o sytnacyi, gdy minister sprawiedliwości musi za pośrednictwem trybunału oczyszczać swój honor? W takiej to właśnie sytuacyi znalazł się Geza Polonyi, węgierski minister sprawiedliwości, któremu były burmistrz Budapesztu, Halmos, zarzucił, że nadużywał swego stanowiska, jako adwokat i poseł do parlamentu, ciągnąc stąd korzyści dla swej kieszeni.

Wprawdzie później Halmos odwołał swe zarzuty — jak twierdzą przeciwnicy Polonyi'ego — uczynił to pod groźbą, że minister swymi przemożnymi wpływami potrafi wystarać się o zamknięcie go w domu waryatów.

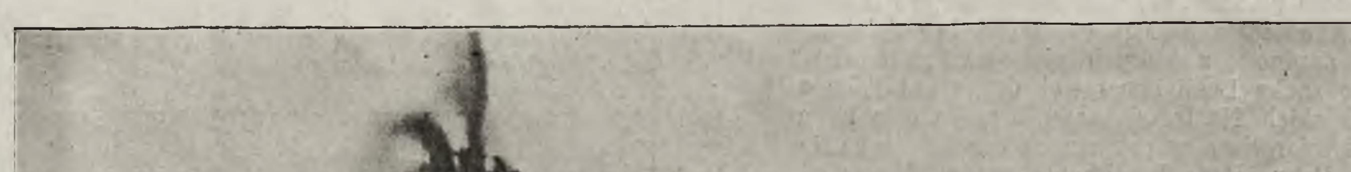
Gdy jednak opinia publiczna zaczęła się coraz żywiej zajmować Polonyi'm, pokazało się, że pan minister ma mocno nieczyste ręce. Wyszło bowiem na wierzch, że utrzymywał bardzo bliskie stosunki z niejaką baronową Schönbergerową, której podobiznę podajemy i używał jej jako konfidentki na dworze wiedeńskim, gdzie ta dama umiała sosie pozyskać względy pewnej, bardzo wysoko postawionej osobistości. I takie rzeczy zdarzają się w polityce, a więc z nich jeszcze nie można by zarzutu zbyt ciężkiego uczynić Polonyi'emu. Ale cóż się pokazało: pan minister schował do swej kieszeni 50 000 koron, które dla baronowej przeznaczyło kilku węgierskich magnatów w zamian za przysługi, jakie miała oddawać rzekomo sprawie Węgier, szpiegując dwór wiedeński.

„Cherchez la femme“! — stary aksyomat policyjny i w tym wypadku znalazł zastosowanie. Pani baronowa, licząca obecnie lat 39, pochodzi z małej mieściny węgierskiej Szegszord, gdzie jej ojciec był drobnym handlarzem wina, a do Budapesztu przybyła w 1895 roku. Tam, w stolicy, znanej z wesołego życia, panna Róża Wallerstein — takie jest nazwisko panieńskie pani baronowej — szybko zrobiła karyerę Wreszcie w roku 1898 zawarła znajomość z pewnym wybitnym politykiem. Miała wówczas podobno zatarg poważny ze sądami, lecz dzięki wysokiej protekcyi, wyszła zeń cało.

Później zawarła przyjaźń z jakimś bogatym Rosyaninem i spędziwszy z nim trzy lata na wspólnem pożyciu, przywiozła za powrotem do Budapesztu kilkaset tysięcy koron. W tym czasie znów po-

Katastrofa w kopalni.

Dopiero niedawno dawaliśmy zdjęcia fotograficzne z katastrof w szybach naftowych galicyjskich, a znowu telegramy z Borysławia rozniosły wieści o świeżem nieszczęściu. Oto nad ranem koło godziny trzeciej wybuch pożar w kopalni firmy niemieckiej „Laupenmühlen“, gdzie doszczętnie spłonął szyb naftowy, będący przedsiębiorstwem inżyniera Tomasza Łaszcza. Katastrofa, jak to najczęściej bywa w naszych kopalniach, pociągnęła za sobą ofiary w ludziach. W płomieniach zginęli wiertacz i dwaj jego pomocnicy, których uratować się nie dało. Znaleziono już tylko trzy trupy zwęglone w zgliszczach. Prawdziwie cudem tylko zdołał się ocalić, dzięki linie ratunkowej, trzeci pomocnik wiertacza. Szyb zupełnie pożarem zniszczony, został sfotografowany na parę dni przed katastrofą i właśnie zdjęcie to załączamy. Przedstawia ono wybuch ropy, a ponieważ zdjęcia takie są dość rzadkie, przeto rycina nasza niewątpliwie zainteresuje publiczność, niemającą sposobności widywania w naturze wypadków wybuchu ropy.



Fot. B. Liberman w Borysławiu.

Katastrofa w Kopalni: Wybuch ropy w szybie, który nazajutrz spłonął.

znała się z wydalonym z wojska za długi porucznikiem baronem Schönbergerem, który dawszy jej nazwisko, nazajutrz po ślubie z nią się rozszedł.

Musiało się baronowej w ogóle nieźle powodzić, skoro mogła w Wiedniu utrzymywać stajnię



Brudna afera: Geza Polonyi, węgierski minister sprawiedliwości.

wyścigową, z której koń „Löwenherz" zdobył pierwszą nagrodę na wyścigach w Kottingbrunnie.

Z Wiednia przeniosła się baronowa następnie do Budapesztu i zawarła tam bliższą znajomość z Polonyi'm.

Teraz, gdy jej przyjaciel Polonyi, tak silnie został skompromitowany, sfingowała bar. Schönberger zamach samobójczy, ale rzecz prosta, że została uratowaną; pokazało się bowiem, że jedynie zażyła trochę za silną dawkę morfiny. Ta reklama wcale jej nie zaszkodziła, bo już znalazł się przedsiębiorca jakiegoś amerykańskiego gabinetu osobliwości, który zaproponował baronowej, aby występowała u niego przez pięćdziesiąt wieczorów, ofiarując jej po 2.000 dolarów za każdy występ.

Tymczasem losy Polonyi'ego się ważą. Pierwotnie ani myślał o oczyszczeniu się z zarzutów za pomocą sądu — teraz jednak zmusza go do tego uchwała kolegów z gabinetu koalicyjnego. Ciekawa rzecz, jak wypadnie to pranie honoru ministra sprawiedliwości, przez podległe mu sądy węgierskie, szczególniej gdy pokazało się z rewelacyj posła Lengyela, że pan minister wyrabiał koncesye na domy publiczne i natarczywie domagał się, za to honoraryum od osób interesowanych.

Oprócz portretu ministra Polonyiego, burmistrza Halmosa i baronowej Schönbergerowej, zamieszczamy tu jeszcze i podobiznę posła Lengyela, który prowadzi zaciekłą kompanię przeciwko bohaterom tej brudnej afery i któremu uczciwi z pomiędzy Węgrów zawdzięczają właśnie wyprowadzenie na światło dzienne najważniejszych szczegółów sprawy, kompromitujących Polonyiego.

W ostatniej chwili nadeszła wiadomość z Budapesztu, że cesarz przyjął dymisyę Polonyi'ego.



Brudna afera: Halmos, były burmistrz Budapesztu.



Brudna afera: Baronowa Schönbergerowa, przyjaciółka Polonyi'ego.

Twierdza polskości.

Słusznie nazwano twierdzą polskości Miłosław i dobra miłosławskie, należące do zasłużonego dla wielkopolskiego społeczeństwa, Józefa Kościelskiego. Wszelkie zakusy hakaty pruskiej nie mogą uczynić wyłomu w tej twierdzy. Cała ludność bowiem w dobrach miłosławskich jest tak przejęta duchem polskości, iż na nic nie zda się przysyłanie do szkoły tamtejszej najzagorzalszych nauczycieli pruskich, którzy z polskich dzieci nie wybiją wrodzonego patryotyzmu. Tu strajk szkolny powstał sam z siebie. Nikt nie namawiał chłopców i dziewcząt, w wieku około lat 10. do oporu solidarnego przeciw nauce religii w języku niemieckim, którego żadne dziecko nie rozumie. Rodzice, podobnie jak księża, dowiedzieli się już o strajku szkolnym jako o fakcie dokonanym. Na podobny objaw walki świętej młodocianych bohaterów za wiarę i mowę ojców i pradziadów, zanosiło się jednak od pewnego czasu wśród dziatwy miłosławskiej. W ciągu ubiegłego lata małe dziewczęta wraz z kolegami szkolnymi zbierały się często na cmentarzu kościelnym i pod figurą św. Wawrzyńca klękały gromadką koło mogiły z roku 1848, dla wspólnej modlitwy, w której prosiły Boga, by mogły uczyć się katechizmu w zrozumiałej mowie ojczystej, a nie w obcym i wrogim języku niemieckim. Już wówczas coraz częściej rozlegał się cmentarzu kościelnym harmonijny śpiew gromadki dziecięcej na nutę „Serdeczna Matko!" Potem zbierały dziewczęta dziewięcioletnie wśród starszych składki, żeby w kościele zamówić mszę św. na tę intencyę, by mogły znowu uczyć się religii po polsku... I naraz dowiedzieli się rodzice, że ich dzieci wiążą w budynkach szkolnych nauczyciele pruscy skutkiem jednomyślnego oporu przeciw niemczeniu. A rodzice ci — to Polacy, świadomi dobrze położenia, w jakiem znajduje się w



Brudna afera: Prowadzący przeciw Polonyi'emu zaciekłą kampanię, poseł Lengyel.

tej chwili żywioł polski w zaborze pruskim. Wśród całej ludności robotniczej w dobrach miłosławskich nie ma rodziny, któraby nie trzymała pism polskich, a czytelnicy gazet poznańskich dobrze rozumieją, co czytają. Więc dziecko z takiego domu wynosi duszę polską, której na niemiecką nie przekują pruscy nauczyciele... Ogniskiem polskości, którego promienie zbawienne rozchodzą się szeroko po okolicy, to dom właścicieli dóbr miłosławskich, państwa Kościelskich. Oni to świecą przykładem patryotyzmu dla licznych oficyalistów. Przypominają sobie nasi Czytelnicy proces członka Izby panów, Józefa Kościelskiego któremu Prusacy insynuowali, że aż powstanie polskie przygotowuje w swym domu, dlatego, że uczestników zlotu Sokołów zaprosił do swego rozległego parku, a gości witała straż leśna w polskich strojach. Dawaliśmy wówczas, gdy sprawa ta była głośną, portret stojącego przed sądem pana na Miłosławiu.

* * *

Dziś zamieszczamy grupę właśnie tej straży leśnej w dobrach miłosławskich, która tyle krwi psuje hakatystom pruskim przez to, że nosi polskie mundury i fakt, że kilku z nich, jak się władza dowiedziała, brało udział w powstaniu w 1863 roku. Druga fotografia z Miłosławia wyobraża gromadkę strajkujących dzieci szkolnych modlących się na cmentarzu kościelnym. Z twarzy biednej tej dziatwy widać jak szczerą i wielką jest ta prośba, jaką w tej chwili zanosi do Pana Niebiosów.



Twierdza polskości: Straż leśna w dobrach Józefa Kościelskiego w Miłosławiu.



Twierdza polskości: W Miłosławiu w Wielkopolsce, modlące się przed kościołem dzieci szkolne, które strejkują przeciw nauce religii w języku niemieckim.

Walka o milion.

Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów
przez M. Walter

B. Felicyan tłomaczył z angielskiego

5 (Ciąg dalszy).

— Kocham cię matko, ubóstwiam i chciałbym żyć dla tego szczęścia. Ale jeżeli Leonory nie uznasz za synową, opuszczę cię na zawsze i nigdy mnie nie zobaczysz. Dlaczego się sprzeciwiasz? Przyznałaś sama, że jest piękną, że ma wszystkie przymioty potemu, aby należeć do najwykwintniejszego towarzystwa i w niem nawet królować. Majątku nam nie potrzeba, bo to co mam, wystarczy najzupełniej do utrzymania się na tym poziomie towarzyskim, na jakim jesteśmy. Wybieraj matko. Albo stracisz syna, albo zyskasz synową.

To rzekłszy, oddalił się spiesznie.

Matka Franka miała prawdziwą słabość dla Laury Durand i zrosła się z tą myślą, że Laura będzie jej synową. Przy tem pragnęła powiększenia majątku i to były powody, że usiłowała oderwać syna od Leonory.

Widząc jego stanowczość, ulękła się groźby nietylko jako matka, ale i jako kobieta, lubiąca jeszcze życie towarzyskie.

Gdyby ją syn opuścił, nie przeżyłaby tego jako matka, a jej uśmiechały się jeszcze ożywione salony. Zaczęła więc sobie zwolna perswadować, że to może i nie źle będzie, gdy syn z taką piękną żoną pojawi się w towarzystwie, że taka synowa będzie też siłą przyciągającą dla jej salonu. Tak więc po części miłość matki, po części próżność kobiety zwyciężyły dotychczasowy upór.

Pewnego wieczoru otrzymał Frank od matki list na eleganckim papierze do przeczytania.

— Chyba jesteś zadowolony? — mówiła pani Arteveldt. — Przeczytaj i oddaj swojej narzeczonej.

— Brak mi słów na wyrażenie mojej wdzięczności Teraz to już nie wątpię, że mam kochającą mateczkę — odpowiedział Frank, przeczytawszy list takiej treści:

„Panno Leonoro! Sprawi mi to prawdziwą radość, jeżeli Pani zapomni o naszej rozmowie. Zbliżyłam się do pani z uprzedzeniem, za co dziś szczerze przepraszam i proszę o tę przyjaźń i życzliwość dla mnie, jaką dla pani już powzięłam. Powinny nas przecie łączyć najserdeczniejsze stosunki, skoro masz wkrótce zostać żoną mojego syna. Gdy Frank pospieszy do pani, będę mu towarzyszyła. Ellen Arteveldt“.

Leonora przeczytała list z wielkiem zadowoleniem i od owej chwili była już nieodstępną towarzyszką matki swego narzeczonego. Widywano je wszędzie razem, czy to w teatrach, czy na koncertach, czy też na wycieczkach; razem też załatwiały wszelkie sprawunki potrzebne do urządzenia mieszkania dla młodej pary.

Pani Arteveldt wymyślała coraz to inne szczegóły, byle tylko urządzić wszystko, jak można najwykwintniej.

Do willi najętej przez Arteveldta przytykała druga taka sama. Obie były połączone oszklonymi kurytarzami, tak, że w razie potrzeby mogły tworzyć mieszkanie dla jednej rodziny; wyglądały jak bliźniaki. Jedną wynajął Arteveldt, myśląc, że i drugą wynajmie jakaś rodzina zamożna. Niezmiernie było mu to nieprzyjemnie, a nawet przykro, gdy się dowiedział, że bliźniaczą willę najęto na pokoje gościnne dla tak zwanego „pensyonatu“.

Na tydzień przed terminem ślubu, przyszła o zmroku do Ruthvenów jakaś dama, gęstym okryta welonem i pragnęła zobaczyć się z Leonorą. Poproszono ją do salonu, gdzie wkrótce ukazała się Leonora.

— Pani jesteś narzeczoną pana Franka Arteveldta? — zapytała nieznajoma, nie odsłaniając welonu.

— Tak pani.

— Chciałabym z panią o nim pomówić.

— Proszę bardzo, jednak nie wiem, z kim mam przyjemność rozmawiać?

— Przedewszystkiem muszę pani powiedzieć — zagadnęła nieznajoma — że Frank Arteveldt był już z inną prawie zaręczony.

— Cóż z tego?

— Honor go skłaniać powinien do spełnienia przyrzeczeń.

— Honor, powiadasz pani — rzekła Leonora. — Ależ to bywa niekiedy tylko puste słowo.

— Jeżeli więc pani sądzi, że Frank nie ma poczucia honoru, dlaczego chcesz mu oddać swą rękę? Pani nie możesz być z nim szczęśliwą; nie dotrzyma ci wiary, choćby twym mężem został. Obłudnik! Przybywam tu w imieniu osoby, która Franka kocha, która bez niego życia sobie nie wyobraża, a której on miłość przysięgał. Wyrzecz go się pani, zwróć go tej nieszczęśliwej, która przezemnie o to cię błaga.

— Tego nie uczynię.

— Uczynisz pani. Czytam w twoich oczach, że jesteś równie szlachetną jak piękną.

— Źle pani wyczytałaś – rzekła Leonora tonem smętnym i jakby do siebie słowa zwracała.

— Zastanów się pani, rozważ dobrze — mówiła nieznajoma coraz niecierpliwiej, z coraz większem wzruszeniem. — Jeżeli oddasz Frankowi swoją rękę, spadnie na twoją głowę krew nieszczęśliwej; ona nie przeżyje utraty ukochanego. Pani niezdolną jesteś tak go pokochać, jak ona. Namyśl się panno Armyn, namyśl się dobrze, bo krew popłynie, jak Bóg na niebie!

Leonora podniosła się nagle i rzekła stanowczo:

— Proszę odsłonić twarz, proszę usunąć welon!...

— Tego nie uczynię.

— W takim razie zakończmy rozmowę. W sprawie tak poważnej nie mogę dłużej rozmawiać z osobą nieznajomą. Nie zaprzeczysz mi pani, że ty sama jesteś tą, która Franka kocha; nie zaprzesz się tego, że przybyłaś tu w swej własnej sprawie, a nie w cudzej. Miej pani odwagę odsłonić się i powiedzieć, kim jesteś.

— A więc nie przeczę i nie zapieram się. Chcesz, bym się odsłoniła, dobrze, uczynię to, jeśli mi przysięgniesz, że wszystko zostanie w tajemnicy.

— Spełniam życzenie pani i przysięgam uroczyście.

— Czy Frank nie wspominał nigdy przed panią, że bywa częstym gościem u jakiejś rodziny, gdzie jest córka na wydaniu?

— Istotnie, wspominał mi o rodzinie Durand.

— Ja jestem Laura Durand — rzekła nieznajoma, zdejmując prędko welon.

Nastała dość długa chwila milczenia. Leonora ciekawie przypatrywała się pięknej, uroczej blondynce i znać było, że patrzy na nią ze szczerą sympatyą.

— Panno Lauro! podziwiam panią. żeś do mnie przybyła w tej sprawie.

— Bo ja mam już prawo do Franka; pani mi go musi zwrócić.

— Nie mogę, stanowczo powtarzam: nie mogę — rzekła Leonora ponuro.

— Gdybyś pani wszystko wiedziała, co ci chcę powiedzieć, gdybyś wiedziała, że...

— Nie, nie, proszę mi nic nie mówić — przerwała Leonora. — Nic słyszeć nie chcę i nic mego postanowienia nie zmieni. Tylko śmierć rozłączy mnie z Frankiem.

Laura powstała jakby skamieniała i wyszeptała drżącym głosem:

— Niech ci to Bóg wybaczy, ja wybaczyć nie mogę i nie wybaczę nigdy!

IX.

Krwawe wesele.

Stuart spieszył co tchu do domu, dopadł schodów i niecierpliwie dobywał klucza od mieszkania. Dochodziła godzina siódma; o siódmej ślub Arteveldta. Przyszedł, chciał być na nim, zwłaszcza, żeby raz już poznać Leonorę, której pięknością wszyscy się zachwycali, wszyscy o niej mówili.

Już wkładał klucz do zamku, gdy jakiś chłopiec zastąpił mu drogę.

— Czy pan Neil Stuart?

— Tak. Czegóż sobie życzysz?

— Mam list dla pana.

Stuart otworzył. Był to bilet Jocelyna.

— Kłaniaj się panu.

Chłopiec odszedł. Stuart wpadł do mieszkania i czytał pismo przyjaciela z wielkiem zajęciem. Donosi mu Jocelyn, że jest na tropie bandy szulerów i spodziewa się ją pochwycić, ale potrzebuje pomocy Stuarta i o nią bardzo prosi. Pragnie koniecznie o 7-mej spotkać się ze Stuartem, liczy na jego przyjaźń i punktualność.

-- Ej do dyabła, to już jakieś w tem zaklęcie — mruczał Stuart — żebym nie poznał panny Armyn. Już drugi raz Jocelyn mi w tem przeszkadza. Co za szkoda! Panna Armyn, miłe towarzystwo, wesele, a więc wieczór przyjemny jak rzadko. I to wszystko na nic! Ha, cóż robić? pierwsze posłuszeństwo niż nabożeństwo.

Zamiast ubierać się we frak, wyjął Stuart jedno ze swoich rozlicznych przebrań, ubrał się prędko i niespostrzeżenie wybiegł z domu, aby na oznaczonem miejscu spotkać się z Jocelynem przed siódmą.

* * *

Tymczasem we willi zebrał się po ślubie orszak weselny. Na żądanie Leonory przyjmowano gości nie u matki Arteveldta, tylko w mieszkaniu państwa młodych.

Zebrali się tam wszyscy przyjaciele rodziny Arteveldtów, prócz tego Ruthvenowie, Kate Scaton, pani Jessie Warren i jej przyjaciółka panna Burren. Byli też Durandowie, ale bez córki; Laura usprawiedliwiła nieobecność silną migreną.

Przyjęcie było wspaniałe.

Zastawa stołu pełna przepychu; woń kwiatów, obfite strumienie świateł, połysk kryształów, srebrnych naczyń i najprzedniejszej porcelany, dostrajały się do bogatych ubrań kobiet, do połysku brylantów i szumu jedwabi.

W całem zebraniu był nastrój wesoły, swobodny, a gdy zasiedli wszyscy do bankietu, trysnęły wnet szampany. Doktor Halle, długoletni przyjaciel rodziny Arteveldtów, ich adwokat i opiekun, wzniósł kielich, napełniony szampanem, na cześć państwa młodych.

— Piękniejszej pary nie widziałem nigdy; oby była równie szczęśliwą, jak jest piękną. Niech żyją państwo młodzi w jak najdłuższe lata!

Powstali wszyscy, podniesiono kielichy, żeby nimi trącić o kielich młodej pary, gdy nagle Leonora dała znak ręką, że chce przemówić. Wstrzymano się od trącania kieliszami i patrzano ciekawie na Leonorę.

Ona, wyprostowawszy się dumnie, blada, siląca się, aby opanować głębokie wzburzenie, spojrzała iskrzącym wzrokiem po całem towarzystwie i odezwała się głosem stanowczym, donośnym:

— Zanim wychylą się toastowe kielichy na cześć pary weselnej, niech dowiedzą się wszyscy, w jaki sposób Frank Arteveldt zjednał sobie narzeczoną. Zanim go uczcicie toastem, dowiedzcie się, do czego był zdolny. Oto w porozumieniu z panią Warren i panną Burren, zwabił mnie podstępnie do takiego miejsca, w którem skromna dziewczyna bez kompromitacyi znaleść się nie może. Korzystała ta spółka z tego, że jestem obcą w tem mieście, że go nie znam, że nie wiem o tych wstrętnych lokalach, których adresy znają te oto dwie panie. Zwabiwszy mnie tam, oświadczył z całą bezczelnością, że dlatego to uczynił, aby mnie zmusić do małżeństwa. Tak, zmusił mnie. Nie chciałam się dać skompromitować, zostałam jego żoną, ale tylko po to, aby się na nim zemścić. Jutro dowiedzą się wszyscy przyjaciele pana Arteveldta, jak odpłaca kobieta wyrządzoną s obie zniewagę. Nigdy on nie dotknie nawet mojej ręki, nie doczeka nigdy tej chwili, w którejby mógł z praw małżeńskich korzystać. Rzucam mu dziś ostatnie spojrzenie, spojrzenie pogardy i nienawiści!

Zrazu była ciekawość u wszystkich, gdy Leonora mówić zaczęła, potem zdumienie ogarniało słuchaczy, wreszcie tak wszyscy osłupieli, że nikt nie miał siły przerwać Leonorze, a nawet ruszyć się z miejsca.

Gdy skończyła mówić nastała pauza, w której zdawało się, że gromada posągów stół okrążyła. Milczenie przerwał jęk mdlejącej matki Arteveldta. Ocknęły się osoby najbliżej niej stojące i pospieszyły na pomoc, Pani Warren i panna Burren, ochłonąwszy z osłupienia, uczuły w sobie taką wściekłość gniewu, że chciały rzucić się na Leonorę, ale Leonora zniknęła.

Daremnie zaciskały pięści, daremnie pieniły się ze złości, daremnie jej szukały po wszystkich pokojach, nie było jej nigdzie.

Frank Arteveldt runął na krzesło i jakby letargiem zdjęty, upadł w niem sztywny, zmartwiały.

Gdy matkę już przeniesiono na łóżko, zwrócił się lekarz do Franka i ocudził go sztucznie. Zerwał się Frank, spojrzał dokoła, przypomniał sobie wszystko, zaśmiał się dziko i zaczął wypijać jeden za drugim stojące na stole kielichy szampana. Przyskoczył do niego Dr. Halle, uchwycił za rękę i zawołał stanowczo:

— Dość tego Frank! opamiętaj się. Czy chcesz zabić matkę? bądź mężczyzną, miej silną wolę i energię ducha. Pić ci nie dam. Gdzie twoja żona?

— Moja żona? — ryknął z szalonym śmiechem Arteveldt. — Ha! ha! Pytasz o żonę? Tak, mam żonę, mam. I pytasz, gdzie jest? Poszukaj! a oddam ci życie całe gdy ją znajdziesz, z wyjątkiem tej jednej chwili, w którejbym mógł ją przycisnąć do siebie i mieć ją w posiadaniu i upoić wdziękami. Daj mi ją, daj na tę jednę chwilę, bym ugasił namiętność, a potem życie moje wziąć możesz!

— Chodź Frank do matki, niespokojna o ciebie. No, opamiętaj się.

— Tak, dobrze mówisz, dobrze mówisz; już się opamiętałem, wiem, ona mnie nienawidzi, przysięgła mi zemstę, ja się jej lękam. Nie chcę jej widzieć. Gdybyś ją znalazł, trzymaj ją zdala odemnie, bo ona, to śmierć moja.

Porwał kielich w rękę, rzucił nim o podłogę i deptał po skorupach szklanych.

— Tak wygląda moje szczęście — zawołał i runął bezprzytomny na posadzkę.

Przybiegł lekarz, przeniesiono Franka do pokoju sypialnego, przygotowanego dla państwa młodych.

Goście rozeszli się; w bogatych komnatach płonęły jeszcze światła, woniały kwiaty na kredensach i bufetach dostygały nietknięte potraw półmiski.

Prawie nieprzytomną matkę Arteveldta przewieziono do jej mieszkania; willa opustoszała zupełnie; na ślubnem łożu szarpał piersi szalejący Frank. Lekarz pozostawił przy nim wiernego służącego i kazał mu podać choremu szklankę wina, do którego wlał lekarstwo, skoro chory pić zechce.

— Chodź tu John — jęczał Arteveldt — siadaj przy mnie nie odchodź, nie rusz się, nie wstawaj. Ja się boję; ona tu przyjdzie z zemstą krwawą.

Wierny stary sługa uspakajał chorego, jak mógł i umiał.

— Wina! wina! John.

Służący podał choremu wino przez lekarza przyprawione, Arteveldt chciwie szklankę wychylił i po chwili zasnął twardo i głęboko. John pogasił światła, zamknął dom i legł nierozebrany w przyległym pokoju na jakiejś otomanie. Zmęczony, usnął twardo wierny sługa i martwa cisza zaległa w tej willi, w której miało być dziś tak wesoło.

* * *

Neil Stuart pracował do późnej nocy z Jocelynem i dopiero nad ranem powrócił do domu. Spał twardo, mimo tego usłyszał silne, gwałtowne dzwonienie do swego mieszkania.

Zerwał się na równe nogi, popatrzył na zegarek; była dopiero szósta rano. Nie dziw, że to dzwonienie, co mu tak miły i pożądany sen przerwało, w tak wściekły wprawiło go humor, że był gotów strącić ze schodów tego, co dzwonił. Zarzuciwszy na siebie szlafrok, otworzył drzwi i ze zdumieniem poznał służącego Arteveldta.

— A ty czego tak dzwonisz? Co się tam stało?

— Nieszczęście, proszę pana, nieszczęście. Pani mi kazała, abym natychmiast tu szedł, i żebym pana poprosił.

— A nie wiesz, co się stało?

— Pani bardzo chora; przywieziono ją nieprzytomną do domu, potem się ocuciła, a potem zerwała się z łóżka, wyrywała sobie włosy i zaczęła wołać przeraźliwym głosem: „Zemścić się, zemścić się muszę nad tą kobietą. Tylko Stuart mi pomoże. Wołajcie go, proście, zaklinajcie; niech zaraz przybywa. On jeden będzie moim mścicielem.

— O jakiej kobiecie ty mówisz? Co za kobieta?

— Panie! to straszne nieszczęście, to niesłychana rzecz. Młody pan zabity, a młoda pani zniknęła, uciekła!

X.

Gdzie morderca?

Stuart oswoił się z wiadomościami o zbrodniach, i mordach; przywykł do wszelkiego rodzaju nieprzewidzianych wypadków; usposobienie też miał spokojne, panowanie nad sobą wielkie, a jednak to, co usłyszał, jakby gromem w niego uderzyło. W niespełna pół godziny był już na miejscu zbrodni.

Zaledwie się ukazał, rzuciła się ku niemu matka zamordowanego i wyciągając błagająco ręce, wołała:

— Jesteś, jesteś zbawco! Pan jej wyszukasz, nieprawda? Wyszukasz, przyprowadzisz tu, a my ją zabijemy, jak ona jego zabiła.

Z politowaniem spojrzał na rozpacz nieszczęśliwej matki.

— Bądź pani spokojną, znajdziemy ją, wszystko się stanie według życzenia pani. Ale i pani musi nam pomagać.

— Ja? pomagać? mów pan, w jaki sposób?

— Cierpliwością i spokojem.

— Będę spokojna, będę cierpliwa, o bardzo spokojna, byle tylko się zemścić za to biedne dziecko moje, byle tylko ją zabić.

Nadszedł doktor Halle i obaj ze Stuartem na



— Ja się boję! ona tu przyjdzie z zemstą krwawą!

kłonili nieszczęśliwą, aby spoczęła w odległym pokoju, sami zaś udali się do sypialni, w której leżały zwłoki zabitego. Frank leżał na bok z oczyma zamkniętemi, z twarzą spokojną, jakby we śnie pogrążony. Jedną rękę trzymał pod głową, co było jego dawnem, z lat dziecięcych przyzwyczajeniem. Na skroni czerwieniła się kropla krwi; tu była śmiertelna rana.

Morderca zadał ją narzędziem wąskiem, cienkiem, nadzwyczaj ostrem.

Przy drzwiach pokoju stała straż policyjna.

— Czy powzięto już jakie podejrzenia? — zapytał Stuart ajenta policyjnego.

— Są już nie podejrzenia, ale wprost dowody.

— Kogóż się obwinia?

— Oczywiście żonę, która zbiegła i ukrywa się tak, że jej znaleść nie można.

W tej chwili zjawił się Dr. Worthing, domowy lekarz Arteveldtów.

— Miło mi pana poznać, panie Stuart. Proszę pana o pomoc w leczeniu chorej. Ona panu bardzo ufa i wierzy w to, że pan wyszuka mordercę. Pragnienie zemsty tak opanowało jej umysł, że popadłaby w obłąkanie, a może i umarła, gdyby straciła wiarę w to, że się zemścić zdoła. Niech pan tę wiarę w niej podtrzymuje, a to będzie skuteczniejszem lekarstwem, niż wszelkie moje zabiegi.

Stuart przyrzekł uczynić wszystko, aby uspokoić nieszczęśliwą matkę a również, aby wykryć zbrodniarza, poczem zwrócił się do doktora Halle i prosił o szczegóły wydarzeń w czasie krwawego wesela.

Gdy mu Dr. Halle wszystko najdokładniej opowiedział, Stuart swoim zwyczajem usiadł w krześle, zasłonił twarz rękami i myślał długą chwilę, potem zostawiwszy obu panów, rozglądał się uważnie po całem mieszkaniu.

Nigdzie żadnego śladu, po którymby można wpaść na trop, którędy morderca wszedł do zamkniętego mieszkania i jak z niego wyszedł.

Przepatrzywszy wszystko najdokładniej, nie ominąwszy niczego, wrócił do pokoju, w którym zatrzymali się lekarz i adwokat.

— Czy pan także sądzi — spytał adwokata Stuart — że to żona zabiła męża?

— Dopóki nie znajdę innych poszlak, muszę opierać się na dotychczasowych. Wszakże sama wyraźnie zapowiedziała zemstę. W jakimże celu ukryła się oddaliwszy się z bankietu?

— Czy pan doktor może się z tem pogodzić, aby dziewczyna, wychowana na wsi, o temperamencie gwałtownym, była zdolną zadać cios tak zręczny, tak obmyślany? Taka osoba uderzyłaby może siekierą, pchnęła nożem na oślep, ale nie byłaby zdolną do takiego anatomicznego obliczenia skutków swojego ciosu.

— A jednak jest to możliwe, bo wszystko przeciw niej świadczy — rzekł Dr. Halle.

— Niezawodnie możliwe, ale... wątpię, czy prawdopodobne. Na możliwościach nie może się nigdy opierać działalność policyi, raczej na prawdopodobieństwach, ale i to także wtedy jedynie, jeżeli prawdopodobieństwa będzie się uważało tylko zawstęp do tego, aby zebrać dowody. Ileż to razy zdarzało się, że poczytując coś za możliwe, nękało się najniewinniejszych ludzi podejrzeniami, śledztwem, nawet i więzieniem. Nie powinno się nigdy czepiać czegoś uporczywie, co nam się natrętnie nasuwa i ma pozory prawdy.

— Cóż pan myśli czynić? — spytał doktor Halle.

— W tej chwili stanowczo powiedzieć nie mogę. Zależy to od orzeczenia komisyi sądowo lekarskiej, no, a przedewszystkiem od tego, jakie zdołam wysnuć kombinacye, aby wpaść na trop właściwy. Ponieważ pan jest opiekunem rodziny, będę pana o wszystkiem zawiadamiał.

Komisya sądowo-lekarska nie wyjaśniła niczego ponadto, co Stuart już widział i wiedział. Stuart wdał się w rozmowę ze służącym, który spał w pobliżu zabitego.

— Czy to możliwe, żeby ktoś tak pocichu wszedł i wyszedł z pokoju, żebyście wy tego nie słyszeli?

— Zasnąłem co prawda — odpowiedział John — dość twardo, bo poprzedniej nocy nie zmrużyłem oka i przez cały dzień miałem ciężką służbę. Ale bywało to nieraz, że jeszcze twardziej się spało, a zerwałem się zawsze na nogi, jak mnie pan kiedy w nocy zawołał. Ba! nie trzeba było i wołania; jak kto przez pokój przeszedł, to ja się już budziłem.

— Więc nie widzieliście nikogo i nic nie słyszeli?

— Nikogo nie widziałem i nic nie słyszałem. Zbudziłem się już dobrze po świtaniu, właśnie gdy przyszedł Filip, żeby tu pomagać w porządkowaniu. Najpierw poszedłem ostrożnie do tej nieszczęsnej sypialni, żeby się przekonać czy też pan nie chory, czy śpi spokojnie. Staję przy łóżku, patrzę, słucham, u pana żadnego oddechu, żadnego ruchu. Zbliżam się, dotykam ręki, zimna, trup. Strach mnie zdjął, trzęsę panem, wołam Filipa, patrzymy obaj i widzimy to samo, że nie żyje. Zostawiłem Filipa, a sam pognałem do starszej pani.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Hrabianka doróżkarką.

Osoby zamożne, należące do „towarzystwa“ nieraz lubią powozić ekwipażami, które do nich należą. Często widzimy na ulicach Krakowa, Lwowa lub Warszawy, oprócz mężczyzn, także kobiety, uprawiające ten rodzaj sportu. Czynią to jednak dla własnej przyjemności.



Hrabianka dorożkarką: Pani Duffaut, z domu hrabianka Du Pin, pierwsza kobieta-dorożkarz w Paryżu

Nieraz znów dają się widzieć wiejskie kobiety, które w zastępstwie swych mężów, ogrzewających się zimą po tak licznych w Krakowie szynkach, powożą wozami, wołając sopranem: „hetta!“ i „wiśta!“. Przytem wchodzą one nieraz w kolizyę czy to z pieszym, czy z konnym przedstawicielem władzy bezpieczeństwa, który, bez względu na część należną płci pięknej, pociąga je do odpowiedzialności za nieumiejętne powożenie.

Natomiast prawdziwą osobliwością jest niewiasta-doróżkarz, która w zeszłym miesiącu zaczęła kursować ze swym ekwipażem po ulicach Paryża.

Tą pionierką, zdobywającą nowy posterunek pracy dla kobiet, jest pani Duffaut, z domu hrabianka Du Pin, matka trojga dzieci, którą oczywiście istotna potrzeba zmusiła do podjęcia się tego ciężkiego zawodu.

Pani Duffaut zdawała dwa razy egzamin przed odnośną władzą policyjną. Pierwszy raz przepadła przy egzaminie, nie umiała bowiem zgrabnie zajeżdżać do stajni. Nauczyła się jednak tego i obecnie należy do cechu „automedonów“ paryskich, jak to widać z ryciny, którą podajemy w dzisiejszym numerze.

Jestto przykład, który najprawdopodobniej znajdzie naśladowniczki także w innych większych miastach Europy. Kto wie nawet czy, i Kraków nie ujrzy za czas pewien dzielnych dorożkarek, czyniących niebezpieczną konkurencyę swoim kolegom brzydszej połowy rodzaju ludzkiego.

Europejski championat siłaczy.

Nasz niezrównany Zbyszko święci ciągłe tryumfy. Zaledwie rozprawił się ze swymi przeciwnikami w Wiedniu i w Chrystyanii, znów w Liége, w Belgii, wziął pierwszą nagrodę w kwocie 3 000 koron i złoty medal. Jak tak pójdzie dalej, nikt z nim w Europie nie będzie się mógł mierzyć, a sława polskiego atlety przeniesie się niezawodnie i poza Atlantyk z biegiem czasu.

Można sobie wyobrazić jakie tryumfy zbierałby tam Cyganiewicz wśród Yankesów, będących, jak wiadomo, namiętnymi wielbicielami wszelkiego rodzaju sportu, a szczególniej sportu atletycznego, który uprawiają tam nietylko zawodowcy, ale szerokie koła młodych ludzi wszystkich stanów i zawodów. I z drugiego względu miałby tam Zbyszko z wszelką pewnością kolosalne powodzenie: jest „championem“ światowym. To jedno słowo wywiera wpływ magiczny na synów Nowego Świata. W Ameryce wszystko, co jest wielkie, niepowszednie, a posiada odpowiednią markę z Europy, imponuje i zachwyca.

Dziś podajemy zdjęcie fotograficzne przedstawiające najtęższych obecnie atletów, którzy, wraz ze Zbyszkiem Cyganiewiczem, stanowią prawdziwie „europejski championat“.

W górnym rzędzie na tej fotografii od lewej strony ku prawej widać Turka Effendiego, obok Beck Olsena, dalej Blandettiego i Rosyanina Pugaczewa w stroju kozackim.

W dolnym rzędzie w tym samym porządku siedzą: znany dobrze w Galicyi Lurich, Cyganiewicz, a wreszcie Francuz Sabatier.

Są to wszystko postacie wspaniałe, pełne młodzieńczej werwy i tej pewności siebie, jaką daje siła fizyczna, „ultima ratio“ naszych czasów.

Zabójca Launitza.

Pamiętają Czytelnicy naszą rycinę, przedstawiającą moment zamordowania przez rewolucyonistę gradonaczelnika miasta Petersburga, von der Launitza, którego portret również już zamieściliśmy w naszem piśmie. Toteż nie przypominamy szczegółów zamachu i okoliczności, w jakich został spełniony. Wiadomo, że sprawca kilku strzałami rewolwerowemi zabiwszy naczelnika stolicy przed cerkwią, skierował ostatnią kulę do siebie i trafiwszy w usta, pozbawił się życia na miejscu. Nie wyszło tedy na jaw, kim był ten 20-paroletni brunet w nowym fraku i futrze, przy którym znaleziono tylko bezimienny bilet wejścia na uroczystość poświęcenia pawilonu chorób skórnych w instytucie medycyny doświadczalnej. Zwłoki jego oddano do prosektoryum akademji wojskowo-lekarskiej, gdzie je sfotografowano. Głowa samobójcy, a sprawcy głośnego zamachu, zachowała się bardzo dobrze po śmierci i właśnie załączone zdjęcie przedstawia ją jak najwyraźniej.



Zabójca Launitza: Pośmiertne zdjęcie głowy sprawcy zamachu na naczelnika Petersburga.



Europejski championat siłaczy: Od lewej ku prawej stoją: Effendi, Beck-Olser, Blandeti, Pugaczew; siedzą: Lurich, Cyganiewicz, Sabatier.

Kronika tygodniowa.

Uwaga całej opinii europejskiej skierowana była w ubiegłym tygodniu na wybory do parlamentu niemieckiego. Odbyły się one 25 b. m. przy niesłychanej agitacyi i ogromnym udziale wyborców. Zaledwie w 237 okręgach wynik ich jest ostateczny; 160 okręgów będzie musiało stanąć do ściślejszego głosowania. Na oko rząd przy tych pierwszych wyborach poniósł klęskę, gdyż większość wybranych należy do opozycyi. W rzeczywistości jednak idee skoncentrowane w osobie i działalności cesarza Wilhelma, idea szowinizmu niemieckiego, upatrująca wielkość i przyszłość Niemiec w potężnej pięści, uciemiężaniu obcych narodowości, w militaryzmie, w tępieniu wolnej myśli, w szukaniu żeru dla siebie po wszech lądach i wszech wodach — idee te, powtarzamy, w rzeczywistości odniosły zwycięstwo. Przy pierwszem głosowaniu bowiem opozycya zawsze zdobywała sobie $^3/_4$ swoich mandatów, a stronnictwa rządowe wetowały swoją klęskę dopiero przy wyborach ściślejszych. W danym okręgu np. rozbiły się głosy na 4 kandydatów, z których jeden był socyalistą, centrowcem lub Polakiem — ten gdy przychodził do ściślejszego wyboru z rządowcem, miał po większej części połączone przeciw sobie siły trzech innych stronnictw, które wolały rządowca, niż „wroga państwa“. Otóż fakt, że opozycya mimo pozornego zwycięstwa w pierwszem głosowaniu przeprowadziła mniej kandydatów, niż przy poprzednich wyborach, daje pewność rządowi, iż otrzyma powolną sobie większość w parlamencie. Więc też radość w obozie rządowym niezmierna. Cesarz Wilhelm, jak donoszą telegramy, przepędził dzień swych urodzin „w najlepszym humorze, Bülow wygłosił do ludu berlińskiego czułą przemowę, nawet następczyni tronu miała *sprech* do ludności berlińskiej. Król saski z powodu klęski socyalistów w Saksonii telegraficznie wyraził swoją szczerą „radość i zadowolenie“, że żyje „stara wierność Sasów“ (szkoda, że nie może wyrazić zadowolenia z wierności swej byłej małżonki).

Właściwie ze stronnictw opozycyjnych powinęła się noga tylko socyalistom. Przy poprzednich wyborach przeprowadzili odrazu swoich 56 kandydatów, obecnie tylko 29. W najlepszym razie stracą co najmniej 20 mandatów, a to właśnie da rządowi przewagę głosów, małą bo małą, ale zawsze przewagę.

Ponieważ jednak i na czystem niebie ukazują się chmurki, więc i „najlepszy humor“ właściciela zamku berlińskiego obniżył się o ton jeden na wiadomość o zwycięstwie Polaków na Górnym Śląsku. Dzielny lud polski poczuł się na siłach i zdobył 4 mandaty, a w tej liczbie dwa nowe. W Poznańskiem i Prusach Zachodnich wszystkie dotychczasowe mandaty pozostały w rękach polskich, a jest jeszcze nadzieja, że z pięciu Polaków stających do wyborów ściślejszych, choć jeden uzyska większość.

Ogółem jest wybranych 18 posłów polskich — w poprzednim parlamencie było ich 16. Wynik to pocieszający nie ze względu na ilość wybranych, bo garstka Polaków nie może mieć wpływu w parlamencie i tylko czasem może przechylić szalę w tę lub ową stronę, ale pocieszający dlatego, że dowodzi coraz większego uświadomienia narodowego naszych mas ludowych. Zwycięstwo na Górnym Śląsku to wielki tryumf moralny, to najpotężniejszy dowód odrodzenia się tego ludu, który nie tak dawno jeszcze uważaliśmy za przepadły dla polskości. Jestto zresztą świetna odpowiedź polityce „tchórzliwej“, jaką na Śląsku zalecali nasi wielcy mężowie stanu. Któż sobie nie przypomina gromów rzucanych na Korfantego, że przed kilku laty śmiał wystąpić ze swoją kandydaturą. Nietylko pewne poznańskie, krakowskie i lwowskie dzienniki potępiały jego lekkomyślność, niepotrzebne drażnienie centrum, ale i „Kraj“ petersburski i niektóre poczciwe, aż nazbyt poczciwe dzienniki warszawskie uważały go za warchoła, uczyły go rozumu. Kiedy zwyciężył nastała konsternacya, bo zwycięstwa nie przewidywano. Niektóre pisma zaczęły go wprawdzie pomału rozgrzeszać, inne jednak toczyły jeszcze zażarte boje przeciw Korfantemu, stając w obronie „mądrej, ostrożnej polityki“ Napieralskiego. Ale później i ten Napieralski „zbuntował się“ i został posłem, a obecnie zbuntowali się księża Brandys i Skowroński i również zostali posłami swego ludu. Przypominamy te echa przeszłości, aby oddać posłowi Korfantemu to, co mu się należy. Cała radość nasza dzisiejsza, cały nasz tryumf na Górnym Śląsku jemu zawdzięczamy. Zapewne, że musiał mieć dobry materyał; zapewne, że jeżeli nie on, to kto inny z czasem skorzystałby z uświadomienia ludu, ale on, nie kto inny, przyspieszył polityczne odrodzenie się Górnego Śląska i jemu, nie komu innemu, należałoby posyłać gratulacye. Widocznie jednak Koło polskie w Wiedniu adresu jego nie posiadało.

* * *

W naszej „ściślejszej ojczyźnie“ mieliśmy także głośny swego rodzaju „wypadek polityczny“. „Nowości“ postarały się o fotografie „tego wypadku“ i odpowiedni jego opis, więc fejletonista tylko z obowiązku musi krótko zaznaczyć, że ostatni objaw „ruskiej kultury“, jakim był rycerski napad na bezbronnego profesora w połączeniu z wyładowaniem szlachetnych uczuć na portretach rektorskich, katedrach, ławkach, szybach, świecznikach itd. jest najlepszym dowodem, że Rusini już całkiem dojrzeli do państwowego życia politycznego, a co najmniej, że młodzież ich rokuje najświetniejsze nadzieje na przyszłość jako godna spadkobierczyni ideałów, które przyświecały historycznym postaciom Gonty i Żeleźniaka. Ale to dopiero początek, jak zapewnia p. Budzynowskij, redaktor „Hromadzkiego Hołosa“. Ta burda hajdamacka według niego nie była wybuchem spontanicznego oburzenia Rusinów, ale pierwszym aktem systematycznego teroru, jaki młodzież ruska systematycznie zamierza stosować“. Przy następnym szturmie na uniwersytet „będą padać bomby“ a z czasem ujrzymy „trupy“ w gmachu uniwersyteckim. Ten wspaniały przykład — kończył p. Budzynowskij, znajdzie naśladowców na prowincyi, zwłaszcza przy wyborach.

Zapowiedź przyjemna, ale nie trwóżmy się. Nie taki straszny dyabeł, jak go p. Budzynowskij maluje. Bohaterzy hajdamaccy są bardzo odważni, napadają w stu na jednego profesora, posiadają też ogromną śmiałość wobec martwych przedmiotów. Ale pozatem ich duch rycerski jest nader skromny. Wszyscy starali się przedewszystkiem „drapnąć“ przed policyą, a kiedy ich aresztowano, wypierali się swego udziału w napadzie; każdy tłomaczył się, że „spacerował tylko po korytarzu“ i znalazł się w uniwersytecie „przypadkowo“.

Okazuje się, że nawet jeden z trzech odstawionych do sądu bohaterów podał fałszywe nazwisko, nazywa się bowiem nie Dydyniuk lecz Korwat. Drobne „ekspropriacye“ papierosów, puszek z pieniądzmi i czapki profesora Winiarza, przyczyniają się do charakterystyki czynu inteligentnej ruskiej młodzieży.

* * *

Wobec niego zapomniano naturalnie o awanturze w teatrze lwowskim na sztuce Krechowieckiego. Przypomniał ją wyrok sądowy w sprawie adwokata Dziedzica, który zaskarżył dyr. Hellera i skarb państwa o zwrot 6 kor. 40 hal za bilety a to z powodu przerwania przedstawienia, a więc niedotrzymania umowy ze strony dyrekcyi i zaniedbania obowiązków ze strony policyi. Wesoły ten proces również wesoło się zakończył. Sąd uznał „niedopuszczalność zwykłej drogi sądowej co do pozwanego skarbu państwa“ i skazał dyr. Hellera na zapłacenie adw. Dziedzicowi „1 korony 28 halerzy z 5% odsetkami od dnia skargi pod rygorem egzekucyi“, ponieważ „w razie niemożności wykonania obowiązku wskutek przypadku“ dłużnik powinien zwrócić tylko nadwyżkę w tym stosunku, „aby się nie wzbogacił z ujmą drugiego“. Sąd nie uwzględnił argumentu pozwanego, że pozywający „miał w zamian bardzo ciekawe widowisko“, ponieważ „demoustracya nie była objętą umową między dyrektorem teatru, a skarżącym i nie należała do świadczeń, do jakich p. Heller był obowiązany“. Jest humorek we Lwowie!

* * *

W Warszawie agitacya przedwyborcza trwa w całej pełni. Drugim kandydatem na posła z Warszawy ma być p. Roman Dmowski, leader stronnictwa narodowej demokracyi, redaktor „Gazety Polskiej“, były redaktor „Przeglądu Wszechpolskiego“. Jako przywódzca najsilniejszego stronnictwa, odznaczył się energią i zmysłem organizacyjnym. Należy też podobno do najwybitniejszych mowców.

Ciekawą statystykę, tyczącą się szkół średnich, przynoszą pisma warszawskie. Przed bojkotem szkół rządowych uczęszczało do gimnazyów męskich 14 000 uczniów, a w tej liczbie 9 500 katolików, 2.500 prawosławnych i przeszło 2.000 żydów. Obecnie ilość uczniów gimnazyalnych spadła do połowy, ponieważ ubyło 7.000 katolików — ilość prawosławnych i żydów nie zmieniła się.

Kiedy mowa o statystyce zanotować należy 600 ne przedstawienie „Halki“ na scenie warszawskiej. Opera ta wystawioną była po raz pierwszy w r. 1858 i dotychczas jest tym samym co dawniej magnesem, pomimo, że zwolennicy nowych prądów starali się obniżyć jej wartość. Prawda, że było to w chwili, kiedy zaczęto lekceważyć wszystkich „starych“, kiedy przypinano łatki Matejce, z Grottgera robiono „patryotycznego mydlarza“, nawet na „Pana Tadeusza“ z wysoka spoglądano. Naturalnie działo się to na korzyść nowych „wielkich“ — ale zdrowy rozsądek i prawdziwe poczucie piękna przeszło do porządku dziennego nad tymi poglądami. „Halka“ doczeka się z czasem 1000 nego i 2000-nego przedstawienia.

* * *

Nie stanie się to zapewne udziałem „Pana Tadeusza“, nowej opery p. Wydżgi, wystawionej sumptem jego we Lwowie. Krytycy „zchlastali“ operę co się zowie, a dyrekcya cofnęła ją z repertoaru. Opowiadają, że napisanie jej i wystawienie kosztowało autora 250.000 koron. Ładna sumka! Napisać takich kilka oper, a można z milionera zostać żebrakiem.

Chyba gdyby dopisała... loterya. Ale na naszej ziemi galicyjskiej rzadko kto wkradnie się w jej łaski. Nawet na własne losy wygrać nie możemy. W r. z. główna wygrana losów krakowskich dostała się mieszkańcowi Pragi — po tegoroczną zaś główną wygraną tychże losów zgłasza się mieszkaniec Berna.

Miłość słowiańska i na tem polu przynosi nam tylko straty, bo niema nawet mowy o tem, aby się nam Czesi odwzajemnić zechcieli.

Kącik humorystyczny.

Zupełna zmiana.

Jakiś elegant spaceruje po lwowskim corsie na ulicy Karola Ludwika. Wtem przystępuje doń pijany obywatel.

— Jak się masz przy... przyjacielu, serwus!
Facet wybałuszył nań zdziwione oczy.

— Czego pan sobie życzy?

— No, no, no, aleś pan się zmienił prawie nie do poznania, przedtem był pan mały i gruby a teraz pan jesteś długi i chudy.

— Ależ ja pana wcale nie znam!

— Nie rób pan heo! Przecie... przecie my się znamy panie Karliński!

— Ależ ja się nie nazywam Karliński.

— Co? — pyta zdziwiony pijak — nawet Karliński pan się już także nie nazywa!

Pochwała.

Zegarmistrz: Czy pan dobrodziej zadowolony z zegarka.

Facet: Bardzo. Idzie jak automobil.

Zegarmistrz: Jakto?

Facet: Robi godzinę w czterdziestu minutach.

Przy asenterunku.

Moryc Kaftan staje do asenterunku. Wchodzi do pokoju, gdzie urzęduje komisya asenterunkowa. Lekarz pułkowy widzi, że Moryc jest obrzydliwie brudny i powiada do feldfebla:

— Odprowadź go do drugiego pokoju, niech się tam obmyje.

Pan feldwebel prowadzi Moryca do drugiego pokoju, gdzie Moryc widząc olbrzymią balię z wodą woła z rozpaczą:

— Oj gwałtu, wzięli mię do marynarki!





Napad na skład fabryki Poznańskiego: Zabity przez bandytów Adam Presburger. (Do artykułu na stronie 4)



Katastrofa w Kingston: Wschodnia dzielnica miasta przed trzęsieniem ziemi.



Katastrofa w Kingston: Rodzina typowych Jamajczyków.

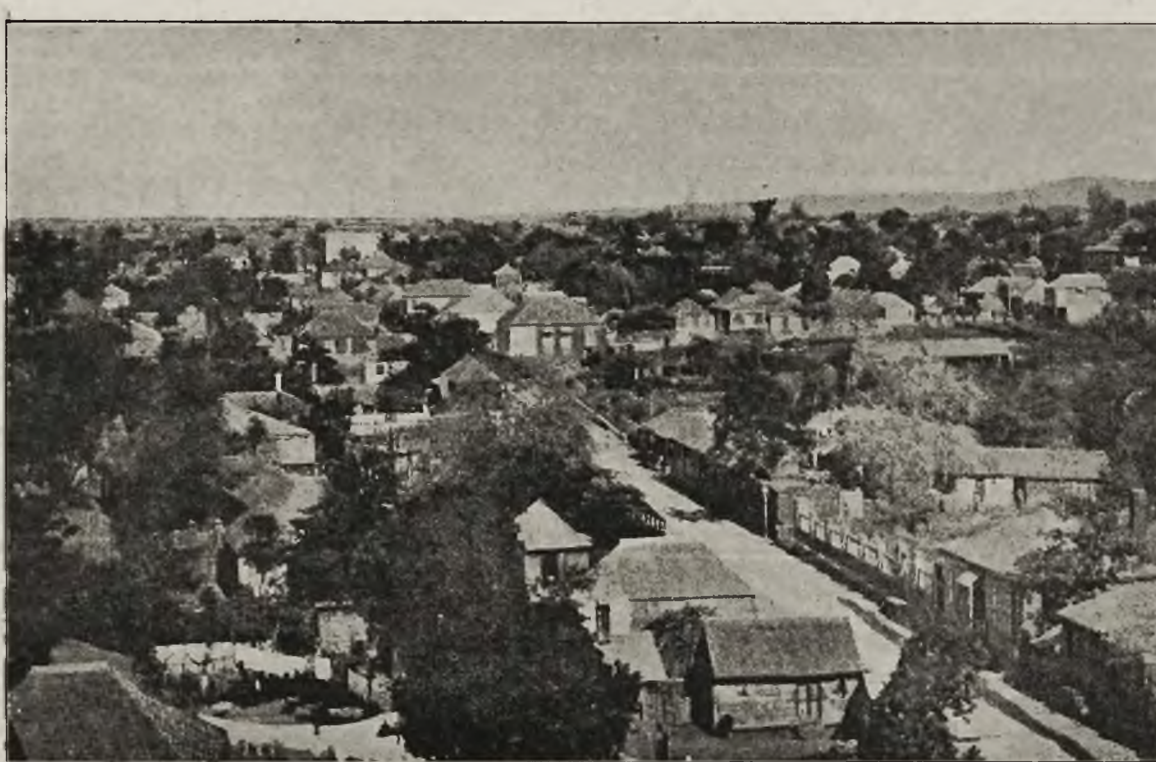
Katastrofa w Kingston.

Zapoznaliśmy już naszych Czytelników w poprzednim numerze z terenem strasznej kastastrofy, opisując nawiedzone trzęsieniem ziemi miasto Kingston na Jamajce. Zamieściliśmy już wtedy szereg widoków z nieszczęsnej wyspy, dziś załączamy nową seryę zdjęć fotograficznych, dających pojęcie o wyglądzie stolicy egzotycznej, która legła w gruzach po najświeższej katastrofie. Z łatwo zrozumiałych powodów, nie nadeszły jeszcze do tej chwili do Europy widoki okropnego zniszczenia, a nawet mimo, że upływa już drugi tydzień od głównego momentu klęski na Jamajce, nie da się jeszcze z lakonicznych i sprzecznych najczęściej ze sobą w szczegółach, doniesień telegraficznych, wyrobić sobie dokładnego obrazu katastrofy, bądź co bądź, jednej z największych, jakie zdarzyły się w ostatnich latach.

Pierwsze trzęsienie ziemi w Kingston nastąpiło nad ranem niespodziewanie, a było tak gwałtowne, że w uboższych dzielnicach miasta, zwłaszcza w dzielnicy murzyńskiej, runęło natychmiast wiele domów, grzebiąc mieszkańców pod gruzami. Jeden z członków angielskiego parlamentu, który bawił wtedy właśnie w stolicy Jamajki, opowiada o pierwszym momencie co następuje; „Po śniadaniu udałem się z klubu angielskiego na pocztę. Uszedłem kawałek drogi, gdy nagle wydało mi się, jakby ziemia podemną rozstępowała się. W tej chwili ujrzałem ludzi wybiegających w popłochu na ulicę. Wtem o metr przedemną zawalił się dom, jednocześnie runęły domy na prawo i na lewo. Niebo zasłonił tuman kurzu, więc znalazłem się odrazu wśród zupełnej ciemności. Nic nie widząc, słyszałem tylko ciągle, jak naokół waliły się domy. Kiedy kurz opadł nareszcie, wyglądałem czarny jak murzyn. Przetarłem oczy: na ulicach klęczały dzieci i kobiety, modląc się w trwodze głośno, a głosy ich mieszały się z głosami rannych, leżących pod zwaliskami. Zacząłem sam pospiesznie przeciskać się przez gruzy, aż doszedłem do miejsca, na którem stał jeszcze przed chwilą klub angielski, gmach jego bowiem zapadł się cały. Tu potrąciłem o trupa członka klubu, z którym przed kilkunastu minutami zaledwie spożyłem wspólnie śniadanie....“ Zaraz po pierwszem wstrząśnieniu ziemi, wszczął się wielki pożar w zabudowaniach portowych i stąd rozszerzał się niezmiernie szybko. Ponieważ ulice były zamknięte zawalonymi domami, a oprócz tego w mieście panowała panika i ludzie jak szaleni rzucali się na oślep do ucieczki, więc straż ogniowa nie mogła od razu przystąpić do akcyi ratunkowej. Toteż pożar szerzył się dalej z przerażającą szybkością, obejmując coraz większe przestrzenie dzielnicy handlowo-portowej. Stąd ludność uciekała ku morzu, a w natłoku mnóstwo osób wepchnięto do wody. Kiedy straż pracowała nad zlokalizowaniem pożaru, osobne oddziały ratunkowe wydobywały rannych z pod gruzów. Szczęściem ocalał szpital miejski, dokąd



Katastrofa w Kingston: Hala targowa w stolicy Jamajki.



Katastrofa w Kingston: Zachodnia dzielnica miasta przed trzęsieniem ziemi.

można było przenosić pokaleczonych. W tym jednym tylko szpitalu umieszczono ich około 500. Ale rannych jest wogóle kilka tysięcy. Zabitych obliczają na tysiąc osób, a między tymi jest wiele osobistości wybitnych. Niemniej olbrzymie są szkody materyalne. Oprócz zniszczonej pożarem dzielnicy portowej, ofiarą płomieni padło kilka kościołów i szereg banków. Z niektórych instytucyj finansowych zdołano w ostatniej chwili przenieść do piwnic pieniądze i księgi. Gdzieniegdzie wszakże pod większymi gmachami runęły i sklepienia piwnic. Z domów prywatnych w okręgu dziesięciu mil angielskich ani jeden nie został nie uszkodzony, a w dzielnicy murzyńskiej runęły w gruzy całe ulice. To też szkody wynoszą kilka milionów funtów sterlingów. Rozpaczliwe jest położenie uratowanych, którzy na krańcach miasta koczują pod gołem niebem, a środki żywności, mimo pomocy nadchodzącej na okrętach do Kingston, są aż nadto niedostateczne. Nadzwyczajne zarządzenia władz zapobiegły w dalszym ciągu grabieżom awanturniczych łupieżców.

Wielki pożar przy 20 stopniach mrozu.

W Stanisławowie wybuchł w ubiegłym tygodniu olbrzymi pożar, który na szczęście został zlokalizowany, gdyż inaczej byłby zagrażał całej dzielnicy. Przed dziewiątą rano stanął w ogniu 300 metrów długi budynek w pasażu Gartenbergów. Termometr wskazywał tego dnia 20 stopni mrozu i ta okoliczność utrudniała właśnie akcyę ratunkową. Ogień wybuchł na strychu długości 90 metrów, gdzie umieszczony jest zbiornik wody dla pasażu. Mieszkańcy nieostrożni z pomocą spirytusu odgrzewali rano rury wodociągowe prowadzące do tego zbiornika i to stało się przyczyną pożaru. Długi strych, który nie ma ani jednego muru ochronnego, a tylko poprzedzielany jest cieniutkiemi ściankami z drzewa — stanął odrazu cały w płomieniach, a tu straż stanęła wobec braku wody. Akcyą ratunkową kierował radca Wierzejski przy pomocy miejskiej straży pożarnej, kolejowej i wojskowej. Nadludzkim wysiłkom pompierów, którzy popalili sobie ubrania, udało się ogień zlokalizować, dzięki temu, że nie było wiatru, toteż spłonął tylko dach na całej długości pasażu od ul. Sapieżyńskiej i Karpińskiego. Mieszkania lokatorów drugiego piętra zniszczone zupełnie, zostali oni dosłownie bez dachu; w czasie pożaru 20 kilka sklepów było przez szereg godzin zamkniętych ze względu na niebezpieczeństwo przystępu. Szkoda wyniosła 50 tysięcy koron, a była ubezpieczona w krakowskiem Towarzystwie. Z pożaru tego, który wywołał wielką panikę wśród mieszkańców całego Stanisławowa, zamieszczamy dziś trzy zdjęcia fotograficzne naszego korespondenta.



Katastrofa w Kingston: Pałac »Kings-house«.

Zjazd felczerów z Królestwa Polskiego.

W sali Tow. wioślarskiego w Warszawie zebrali się felczerzy Królestwa Polskiego na pierwszy zjazd zawodowy. Przybyło 125 przedstawicieli tego stanu, liczącego 3000 pracowników w kraju. Jeden z organizatorów zjazdu powitał zebranych temi słowy: „Czyśmy pożyteczni, czy niepotrzebni? Pożytkiem jesteśmy, czy przeżytkiem, jak nas scharakteryzował jeden z lekarzy". A witając takiemi słowy z całego kraju przybyłych kolegów, stwierdził mowca, że tylko chęć wydatniejszej dla społeczeństwa pracy zjednoczyła wszystkich około organizacyi przyszłej szkoły felczerskiej, podniesienia przez to całego stanu do wyższego poziomu i utrwalenia jego spójni w stowarzyszeniu felczerów, które ma właśnie zawiązać się w Warszawie.

Zgromadzeni powołali przez aklamacyę na przewodniczącego p. Michała Duńczyka, a ten zaprosił na zastępcę p. Albina Olszewskiego z Łakowa, na sekretarzy pp. Maciejowskiego i Krawczyka, na asesorów pp. Froelicha i Hellera.

Rozprawy rozpoczął p. Szymański, przedstawiając stan obecny zawodu felczerskiego. Na dowód jego pożyteczności i koniecznej potrzeby w społeczeństwie, przytoczył szereg głosów najpoważniejszych lekarzy, jak drów Radziszewskiego, Kramsztyka i Cybulskiego.

P. Maciejowski przedstawił następnie historyę felczerstwa zapoczątkowanego w Polsce w r. 1540 jako cech cyruliczny, z osobną szkołą aż do czasów Księstwa warsz., kiedy nastąpił rozdział cyrulików od chirurgów, których poziom obniżyła u-



Katastrofa w Kingston: Wojsko w stolicy Jamajki.

stawa z r. 1816. Rada administracyjnaa Królestwa zniosła zawód cyrulniczy, a pozostawiła tylko felczerów, podług instrukcyi z r. 1838 dotychczas obowiązującej i założyła szkołę felczerską taką, jaką była do dni ostatnich, kiedy ją zamknięto na skutek wystąpienia młodzieży o zaprowadzenie w niej wykładów w języku polskim jakoteż innych pożądanych zmian.

Wymownie przedstawił dolę felczera fabrycznego p. Warszawski z Częstochowy, inni mówili o doli praktyki felczerskiej. Wreszcie p. Jarmułowski przedstawił potrzebę organizacyi, szkoły dla felczerów i odczytał zajmujący referat o instytucyi felczerów, jak ona powstała w przebiegu wieków od 1593 r. do dni dzisiejszych. Z kolei refrował w tej sprawie p. Heller z Łodzi, dając świetny pogląd na ekonomiczne i kulturalne warunki naszego społeczeństwa, które instytucyę felczerów czynią nieodzowną, tak jak ona jest dziś faktyczną.



Fot. inżynier Schall w Stanisławowie.
Wielki pożar przy 20 stopniach mrozu: Pasaż Gartenbergów w Stanisławowie w płomieniach. (widok z okien dyrekcyi kolejowej).



Fot. inżynier Schall w Stanisławowie.
Wielki pożar przy 20 stopniach mrozu: Sikawka parowa czynna przy ogniu w pasażu Gartenbergów w Stanisławowie.

„Nie jest ona przeżytkiem w kraju, gdzie na 11 milionów ludności jest zaledwie 1833 lekarzy i to głównie po miastach, a stanie na wysokości zadania przez rozszerzenie wiedzy felczerów, przez usankcyonowanie prawem tych obowiązków, jakie faktycznie spełniają, jakie na nich nakładają te same ustawy, które im praw samodzielności odmawiają. Szkoła nas uprawnia, a równocześnie zazdrośnie ścieśnia naszą wiedzę, prawo jednocześnie nakłada felczerom obowiązki i razem zabrania je spełniać, nie pozwala aptece przyjmować ich recept a całe apteki (kolejowe i fabryczne) oddaje pod ich zarząd i odpowiedzialną opiekę, nie pozwala samodzielnie leczyć, a równocześnie po rozpoznaniu felczera (na kolejach) odmawia powołania lekarza. Zatem i szkoła i prawa wymagają reorganizacyi: pierwsza do zakresu średniej szkoły medycznej, drugie do samodzielności i odpowiedzialności w imię odpowiedniego wykształcenia, któremu i tytuł podlekarza bardziej odpowiada niż felczera“.

Zjazd uchwalił szereg wniosków pożytecznych, poczem oddał umyślnej komisyi sprawę przyszłego zjazdu, który ma się wkrótce odbyć również w Warszawie.

* * *

Pamiątką po pierwszym zjeździe zawodowym pozostanie zbiorowa fotografia komitetu organizacyjnego i delegatów z prowincyi. Grupę tę załączamy w reprodukcyi w numerze dzisiejszym.



Fot. inżynier Schall w Stanisławowie.
Wielki pożar przy 20 stopniach mrozu: Pompierzy z drabiną ratunkową przy pożarze pasażu Gartenbergów w Stanisławowie.

Zmarł na obcej ziemi.

Z szeregów dziennikarskich ubył przedwcześnie zdolny i ceniony pracownik. W San Remo zmarł w 40 roku życia Józef Bornstein, którego jako dziennikarza znano dobrze zarówno w Krakowie i



Zjazd felczerów Królestwa Polskiego: Komitet organizacyjny i przybyli do Warszawy delegaci z prowincyi.

we Lwowie, jakoteż w ostatnich czasach w jego rodzinnem mieście, w Warszawie. Młodym chłopcem przybywszy do Krakowa, zapisał się na wydział prawny Uniwersytetu Jagiellońskiego i już jako akademik poświęcił się dziennikarstwu. Zrazu był



Zmarł na obcej ziemi: Zdolny dziennikarz polski Józef Bornstein, zmarły w San Remo.

współpracownikiem „Reformy“, poczem założył własny dwutygodnik polityczno-literacki pt. „Myśl“. Kiedy jednak nie zdołał go z braku środków materyalnych utrzymać dłużej mimo żywotności pisma, z talentem redagowanego, przeniósł się do Lwowa i wstąpił do redakcyi założonego właśnie podówczas "Słowa Polskiego“ pod redakcyą Romanowicza i Szczepanowskiego. Przez szereg lat należał do bardzo czynnych współpracowników tego dziennika demokratycznego, a jednocześnie był korespondentem pism warszawskich i wiedeńskich. Z chwilą, gdy „Słowo Polskie“ zmieniło barwę polityczną, opuścił jego redakcyę i założył nowy organ pt: „Dzień“, wspierany materyalnie przez bogate sfery żydowskie we Lwowie. Nowemu dziennikowi jednak nie wiodło się mimo usilnej pracy redaktora i pismo po krótkim żywocie przestało wychodzić. Tymczasem Bornstein zaczął coraz bardziej zapadać na zdrowiu i udał się na kuracyę za granicę. Gdy mu się polepszyło, powrócił do rodziny do Warszawy, gdzie powołano go do świeżo przekształconej z „Gazety handlowej“ (której był korespondentem długoletnim) „Nowej Gazety“. Pracował tu z tym samym dla pisma pożytkiem, co w każdej redakcyi, jako publicysta zdolny, wykształcony, rutynowany i nerwem dziennikarskim z natury obdarzony. Przetrwał w redakcyi, gdy „Nowa Gazeta“ przerodziła się w „Ludzkość“ i prowadził w niej stale referat polityczny spraw galicyjskich i austryackich, z któremi był świetnie obznajomiony. Ostatniej jesieni opuścił Warszawę, zmuszony szukać ratunku dla nadwerężonego zdrowia na południu, gdzie przed kilkunastu dniami zakończył pracowite życie w San Remo.

Ludwik Wostrowski.

Dawny ulubieniec Lwowa zgubił się na lat sześć i dopiero teraz odnalazł go w Królestwie dyrektor Heller. Wrócił zatem jako syn marnotrawny na miejsce, gdzie przed bez mała 30 laty kolebała się jego kołyska.

Początek karyery p. Ludwika to teatr im. hr. Fredry pod śp. Kwiecińskim, który zebrawszy samych zdolnych a młodych adeptów, miał w swym komplecie i p. Wostrowskiego, a raczej Lipińskiego, jak się wówczas podpisywał z pewną żenadą na afiszu. Nie wiedział bowiem, czy ma zostać w teatrze. Ale mówił mu śp. mistrz: „Ty Ludwiku już zginiesz komedyantem, bo w twoich komedyanckich żyłach płynie komedyancka krew, podsycająca komedyancki talent szczerozłoty“. I dał sobie to powiedzieć nawet nie dwa razy i został w teatrze. Wkrótce potem przyszedł do Lwowa, gdzie Lwowianki przez szereg lat kochały się w nim na zabój. Bo miał akurat same takie kochliwe role, w których z natury rzeczy nasze panie współczując z bohaterkami, kochają się „także“. Inaczej nie byłoby wzruszenia. A był przytem ładnym, zgrabnym chłopcem z miną i cerą oliwkowo-młodzieńczą, krótko „interessant...“

Westchnął cały Lwów damski, gdy Ludwiczek spakował swoje szminki i manszety i wyemigrował do Królestwa.

Teraz wrócił—i znów się panie doń uśmiechają pomadkowo—ten sam, co był. Jakiś nawet młodszy.



Ludwik Wostrowski: artysta dramatyczny sceny lwowskiej.

Gra dalej tych kochliwych a ostrych amantów i bohaterów, którzy lubią kończyć samobójstwem, a to się tak podoba, że strach!... A jak on gra... Boże, żeby tak ładny chłopiec tak ładnie grał. Jest bowiem bardzo dobrym i pewnym siebie i stawia na nogi każdą rolę choćby była bez nóg. *Kl.*

Z lwowskiego bruku.

(Po reducie artystów. — Program i panie. — Czemu nie wyliczam? — A z gości. — Demokratyczny prezydent. — Ruska borba na uniwersytecie. — Mój projekt. — P. Wydżga i ja mieliśmy pech. — Fałszywy informator.)

Po sobotniej reducie artystycznej trudno na pierwszem miejscu pisać o czem innem, choćby już z tej prostej obawy, aby która bądź z naszych pięknych artystek nie wpadła człowiekowi w fryzurę i nie zawołała całkiem zresztą słusznie: „Jak pan śmiesz zaczynać nie od nas?“

Więc, aby i wilk był syty i moja fryzura cała, zaczynam od nich, od tych wiecznie sympatycznych, znanych, znakomitych, oklaskiwanych i uwielbianych inicyatorów sobotniej reduty w Kasynie miejskiem i stwierdzam na samym początku, że udała się pod każdym względem doskonale. Nic w tem zresztą dziwnego, gdy zważymy, że pracowało nad tem tyle dowcipnych mózgów i wysilało się, aby humor aż się przelewał... Kto tylko widział Krzewińskiego w przebraniu arcydługiej i arcychudej blondyny z manierami histerycznej damy dworu, albo skrachowanej emancypantki, ten brał się za boki i łzy śmiechu ronił. Feldman jako dyrygent kapeli nadwornej był w produkowaniu humoru tak dalece nieostrożnym i rozrzutnym, że omal nie naraził się na proces karny o umyślne, złośliwe uszkodzenie cielesne wszystkich obecnych i odszkodowanie za... garderobę.

Samą pałeczką dyrygował tak sprawnie, że mógł — gdyby nie był uważał — zamordować kilka instrumentów ze swojej kapeli i kilku słabszych członków. Ale wyszedł z tej roli dość szczęśliwie, bo cała katastrofa zredukowała się do pęknięcia kilku gorsetów i kamizelek, z których na gwałt poodlatywały guziki.

Król Patacake, kapitan z Koepenick, balet, loterya fantowa, kapela w knajpie i muzeum osobliwości dopełniły całości, względnej całości.

Bo sam program nie był całym programem reduty, był tylko jej wzbogaceniem, czy urozmaiceniem, choć ona urozmaicenia nie potrzebowała.

Formalny zjazd pięknych twarzyczek, z których jedna upiększała drugą i taka kolekcya kostyumów pięknych i niepięknych, nowych i starych, całych i niecałych, że trudno naprawdę o większe urozmaicenie.

Z pań wyglądały przecudnie: pani Bohuss-Hellerowa, Ordon-Sosnowska, Siemaszkowa, Trapszo, Gembarzewska, Czaplińska, Ogińska, Adwentowiczowa, Michnowska, Jankowska, Schupp, Rotter, Karszo, Zielińska, Jarosz, Orczyńska — przepraszam, ale mając dobry zamiar wyliczyć wszystkie najpiękniejsze, widzę, że nie pomieszczę ich w jednym liście i urywam, aby kogo nie opuścić w pośpiechu.

A opuścić byłoby grzechem. Oczywiście mówię o naszych artystkach. Ale i prócz nich były piękne panie między gośćmi, choćby tylko wymienić te które odznaczały się urodą, toaletą lub kostyumem.

Ze względu na drożyznę taniego opału, szampan i inne płynne artykuły taniego opału, podskoczyły mocno w górę, ale ta okoliczność bynajmniej nie wpłynęła na wstrzemięźliwość i spito tej nocy jakąś część miliona szampanów. Lwią część tej części musiał zapłacić prezydent Michalski, jako prezes Tow. bratniej pomocy artystów i spisywał się dzielnie, wytrzymując wraz z innymi gośćmi do rana. Podczas gdy inne mandaryny i matadory (np. hr. Badeni) znikły dość prędko, nasz demokratyczny prezydent pił z „komedyantami“ na umor i pokazał, że równie dobrze skręca głowę magistrackim kawałkom jak szampańskim butelkom. Pomagali mu w tej robocie wiceprezydent Ciuchciński, radny dr. Wasung (opozycya!) i inni towarzysze "z pod lewka“ i — powiem szczerze — podobała się wszystkim ta wesoła kompanijka, która w dodatku dała się naciągać szewcowi z Koepenicku i podlewała mu ciągle grdykę, aby nie zaschła.

Poczciwi lwowianie (ci, którzy się nie rujnują na redutach) wstawali już, kiedy uczestnicy sobotniej reduty wracali niepewnym krokiem do domu. A komitet redutowy obliczył dochód i zaciera ręce, że fundusz Bratniej pomocy artystów powiększył się bardzo pięknie. Reduta zostawiła po sobie doskonałe wrażenie i dlatego należało jej się dłuższe wspomnienie.

Ale mam jeszcze kilka innych zaległości, z których się muszę "wyrobić“.

Do tych należy awantura niektórych ruskich akademików na uniwersytecie tutejszym, którą przyszły historyk „walczącego Lwowa“ opisze szczegółowo przy dołączeniu zdjęć fotograficznych z podartych portretów i połamanych sprzętów dla potomnych, ku pouczeniu i zbudowaniu. Nie chcę, by przyszły historyk korzystał z moich źródeł i dlatego nic więcej o tej sprawie nie piszę. Oświadczam się tylko stanowczo za utworzeniem ruskiego uniwersytetu i obsadzeniem posady pierwszego rektora panem Didunikiem, który podczas ekscesów ubrał się w togę rektorską, wylazł na stół, tańczył kozaka i śpiewał: „mała baba tre seny“.

Za to pominąć nie mogę pechu, jaki spotkał mnie i pana T. J. Wydżgę z „Panem Tadeuszem“. Ja wprawdzie nie brałem udziału w komponowaniu ani instrumentacyi tej opery, ale miałem w tem swój pech na obcy rachunek. Pechem p. Wydżgi było, że mu się opera nie udała i że ją musiano wycofać z repertuaru. Moim pechem było — co się u nas czasem zdarza — że napisałem krótką notatkę o powodzeniu opery, zanim ją jeszcze widziałem. Polegałem na słowie honoru jednego ze znawców, który zapewniał mnie przed przedstawieniem, że zna operę i ma zapewnione powodzenie. Uwierzyłem mu na słowo i trafiliśmy obaj. Po klapie opery zeszliśmy się w kawiarni, gdzie zamówiłem ciemną separatkę, aby mego informatora udusić. Po trzech godzinach wyszliśmy obaj zupełnie zadowoleni, zostawiając na stole ośm butelek Tokaja. Postanowiliśmy nigdy nie pisać recenzyi przed przedstawieniem, zwłaszcza gdy chodzi o operę. Chodziło tylko o to, kto zapłaci wino. On twierdził, że mój grzech jest większym, bo ja rozszerzyłem jego pomyłkę, dodając od siebie inne pochwały, ja zaś — zdaje mi się słuszniej — twierdziłem, że jego wina jest większą, skoro mię informował fałszywie.

Dlatego wino dotąd nie jest zapłacone i upraszam Szan. Redakcyę o rychłe przysłanie większej zaliczki.

Klewe.

ZŁAMANA SPINKA.

Powieść na tle aktów sądowych

6. przełożył z włoskiego W. Ż. K.

— Wyrok najpiękniejszej Paryżanki jest dla każdego mężczyzny decydującym, choćby ta Paryżanka była tylko klientką bankiera. Pani jak widzę do banku? Czy tu pani ulokowała kapitał odemnie odebrany?

— Tak panie! właśnie spieszę tam poczynić pewne zarządzenie.

— Szczęśliwie pani wybrała, poważna to instytucya. Ale, ale — jeżeli się nie mylę, to widziałem panią w powozie z hrabią Montegretto?

Elena się zaniepokoiła i przez chwilę nie mogła odpowiedzieć.

— Z hrabią Alfonsem Montegretto — powtórzył Aubertin.

— Czy pan zna hrabiego?

— Znam pani — odpowiedział kwaśno Aubertin — niestety znam. Ta znajomość budzi we mnie niemiłe wspomnienie.

— Pańskie słowa przykro mnie dotykają, bo hrabia Montegretto jest moim narzeczonym.

— A, a — wtakim razie ubolewam, że powiedziałem zr wiele. Mimo to ubolewam prawdziwie, że pani nie wyszukała sobie godniejszego człowieka. Życzę wszystkiego najlepszego.

Zanim Elena zdołała się opamiętać i coś odpowiedzieć, Aubertin ukłoniwszy się prędko, skoczył do powozu i odjechał. To co usłyszała — dotknęło Elenę boleśnie i wgryzło się jej w serce. jak zjadliwe żądło. Posępnie zdążała po schodach do biur bankowych. Zarządziwszy wszystko, według wskazówek Alfonsa — wracała do domu smutna, lecz wciąż ze smutkiem walcząca. Siliła się tylko żeby osłabić zupełnie znaczenie słów Aubertina; niechęć bankiera składała na karb jakiegoś towarzyskiego nieporozumienia, lub może na karb zazdrości o kobietę. Mimo tych wysileń brzęczały jej w uszach uporczywie te słowa „niestety“ „nie miłe wspomnienie“. Rozbudzona wyobraźnia dręczyć ją zaczęła różnemi przywidzeniami. Przywidziało się jej nagle, że hrabia Alfons ma wyraz twarzy demoniczny, że malują się na niej cynizm i obłuda. Uczuła lęk przed temi widmami fantazyi, i wróciła do domu znękana, zmęczona do upadłego.

VII.

Już na tropie.

Do miast portowych ściągają zwykle wszelkie szumowiny społeczeństwa. Zbrodnia i nędza szukają tu bezpiecznego schronienia i łatwiej je znajdują, niż w miastach innych, choćby nawet w największych stolicach, gdzie tyle codziennie przybywa obcych i morzem i lądem łatwiej ukryć się zbrodni, łatwiej wyżywić się nędzy, choćby z najlichszego zarobku nad morzem czy w porcie. Powstają też osobne części miasta, będące schroniskiem dla wykolejonych, nieszczęśliwych, opuszczonych lub kryjących się przed pościgiem sprawiedliwości. Nawet z tej nędzy ludzkiej korzystają natury, przedsiębiorcze i zakładają tu garkuchnie, szynki, ba — nawet „kawiarnie“. Wszystko to brudne, nędzne, ponure, jak i owi ludzie, którzy z tych „zakładów“ korzystają. Tu nędzarz zarobił kilkanaście centimów, pomagając włtaczać towary do magazynu okrętowego i ucieszony zarobkiem spieszy, aby sobie ulżyć w takiej „restanracyi“, do której do nęci „polenta“ i „nino vero“. Tam czycha zręczny złodziej kieszonkowy na upatrzoną ofiarę; jeżeli go nie schwycono na gorącym uczynku, jeżeli mu się łup powiódł, butnie woła na „madronę“, aby mu jaknajlepsze przysmaki podawała. Nie brak i żebraków, wyczekujących jałmużny, nie brak też i zaczajonego ze sztyletem mściciela. Możnaby do piekła dantejskiego dołączyć obraz takiego zaułka w mieście portowem.

Pewnego dnia przedpołudniem zjawił się Aleksandrowicz w jednym z tych brudnych lokali. Widocznie znano go tu dobrze, bo „madrona“ witała go z wielkimi ukłonami, stolik nakryła jaskrawą serwetą i z nadzwyczajną uprzejmością prosiła o rozkazy. Kazał sobie podać butelkę wina, za uprzejmość podziękował i począł się rozglądać dokoła. Przy kilku brudnych, połamanych stolikach siedziała garść najrozmaitszych ludzi trzeźwych i pijanych, po części obszarpanych. W kącie izby było ognisko kuchenne, na którem „madrona“ przyrządała przysmaki dla swoich gości.

Zaledwie Aleksandrowicz skosztował wina — zbliżył się do niego wysoki, chudy człowiek i rzekł:

— Salute signore, salute.

— A — to Pietro. Jesteś punktualny — odpowiedział Aleksandrowicz.

Ciekawa to figura. Na twarzy malowało się łotrostwo zbrodniarza, w połączeniu z jowialnością uczciwego, wesołego człowieka. Ubrany czyściej i porządniej, niż inni goście „madrony“ — wyglądał na typ arystokraty pośród włóczęgów. Przez lat kilkanaście upływał mu czas na złodziejstwie, rozboju i odsiadywaniu kar po różnych więzieniach. Znał już nawet francuskie galery, więc bywalec z niego nie lada. Ale czego to nie dokaże miłość? Zakochał się w uczciwej dziewczynie i postanowił zostać uczciwym człowiekiem. Nie mogąc znaleść pracy, udał się pod opiekę Aleksandrowicza, w którego ręce najczęściej wpadał, po każdej łotrowskiej wyprawie. Tak się przejął postanowieniem poprawy, że chciał innych nawracać. Juścić misyonarzem zostać nie mógł, by nauką i kazaniami rozbudzać sumienia, więc pomyślał, że się najlepiej ludzkości przysłuży, jeżeli będzie policyi pomagał w tropieniu dawnych towarzyszy. Aleksandrowicz przyjął go do pomocy i wyznaczył czas próby. Widać próba dobrze się udała, skoro Pietro pozyskał sobie zaufanie Aleksandrowicza i spełniał pod jego kierunkiem różne funkcye ajenta.

— Siadajno Pietro i odwilż sobie gardło szklanką wina.

— A to mi wino! — rzekł Pietro cmokając i oblizując się, gdy duszkiem wypił nalaną sobie szklankę. Mmnieby tu takiego „madrona“ nie dała.

— Masz tam co dla mnie?

— Jest! Jest dobra nowina.

— Ej? czy tylko prawdę mówisz?

— Bodaj mnie tak Rosyna kochała. Pan wie—signore—żem jeszcze nigdy nie zełgał.

— No — to opowiadaj, a prędko, dopóki tu nie natłoczy się ludzi.

— Zaraz signore. Oto tak: przedwczoraj kręcę się w porcie, żeby przy magazynach zarobić kilkanaście centimów, aż tu zjawia się mój dawny przyjaciel Pollo. To był dzielny chłopak, byliśmy razem na galerach w Marsylii. Jakem go spostrzegł, tak mówię do niego: „A cóż ty to robisz?“ On chce podejść bliżej ku mnie, a ja widzę, że ogromnie utyka na nogę. Przypadłem do niego i mówię mu pocichu do ucha: „Czy chcesz co złowić, że kaleką udajesz? Przecieżeś miał nogi dobre, o czem najlepiej wiedzą policyanci francuscy, co cię nigdy doścignąć nie mogli. A on mi na to: „Dyabła ci ja udaję; o małom sobie nogi nie złamał.“ Wziąłem go na bok, usiedliśmy na ławce, żeby kto nie podsłuchał i kazałem mu opowiedzieć co się stało. Zakurzył sobie fajeczkę i tak opowiadał: „Przed kilku dniami zeszło się nas kilku u starej „madrony“ co to wiesz była dawniej w spółce z nami, no i tam piliśmy sobie „nino vero“, bo szczęście posłużyło każdemu i było groszy dość. Jakoś po północy rozeszliśmy się każdy do swej nory. Mnie było pilno do ogrodu przed Albergo dei poderi, bo tam nocleg wygodny na ogrodowych ław kach. Nogi mnie ledwie dźwigały, bo je poplątało „nino vero“. Właśnie skręcam przez ulicę na poprzek, a tu ci pędzi powóz co koń wyskoczy z „Corso Carbonara“ wprost na mnie. Ten przeklęty vetturino omało mi kości nie połamał, bom się usunął, ale że mi się noga przekręciła — tom się i wywrócił. Szczęście, że się konie spłoszyły i szarpnęły na bok“. Jak mi to Pollo powiedział, pomyślałem sobie zaraz, że to dobra nowina, bo proszę signore pamiętać, że to się stało właśnie tej samej nocy, kiedy to tam na Salita Santa Nicola udławili starego. A przecież to ci dwoje, co ich to tam, wtedy koło domu widziano, właśnie pojechali w kierunku „Corso Carbonara“. Ale signore to nie koniec na tem. Pietro nie głupi. Pytam się Polla: „A widziałeś vetturina? dojrzałeś go w nocy? „A on mi na to: „Widziałem go dobrze i znam go dobrze; to gruby Bambetto ze stacione centrale. Jak mi to powiedział, pogadałem z nim jeszcze to i owo, zapłaciłem mu szklankę, „nino vero“ i poszedłem szukać grubego Bambetto.

— Znalazłeś go? — przerwał ciekawie Aleksandrowicz.

— A czegóż bym ja nie znalazł? Gruby Bambetto, najtłuściejszy z fiakrów, ba! nawet w całem mieście nie znajdzie się drugi taki, toć i nie sztuka dopatrzeć go między innymi. Siedział na koźle i spał. Dałem mu dobrego szturkańca w bok. Zbudził się, zaklął od stu dyabłów, ale wnet się udobruchał, gdym go zaprosił na butelkę „barbera“, Zacząłem zachodzić z mańki, tak od niechcenia niby pytałem, jak mu się wiedzie, ile zarabia, co w nocy dobre zarobki. Rozgadał się po znajomości ze mną, bo to jeszcze jak my byli małymi bębnami, chadzaliśmy razem na „frutti di mare.“ Jak już na dobre się rozgadał, tom już nie przerywał, a on rzecze: „Jak się trafi na wielkiego pana, to za jedną noc wezmę więcej, niż za cały tydzień. Kiedyś mi się tak przytrafiło. Bierze mnie z placu jakiś pan, ba! widać mu było z miny i czupryny, że to pan — bierze mnie i każe o wpół do jedynastej w nocy czekać w pobliżu Salita Santa Nicola i nie ruszać się z miejsca, choćbym miał stać do rana. Sypnął mi w łapę tyle, coby wedle taksy wypadło za trzy nocne godziny, a obiecał dać drugie tyle. Znam takie historye—wiedziałem zaraz, że to coś kobietą trąci, no i zgadłem, bo koło wpół do pierwszej po północy, przyszedł mój pan z jakąś elegancką panią, dał mi zawiniątko na koziołek; siedli oboje. Szkapy się zastały, jadę, ot tak sobie, aż mój pan huknie, żebym śmigał co tchu, bo mu pilno i kazał jechać przez via Cannetto, do hotelu Golfa“. Widzi signore, że to ciekawe, co? Dowiedziałem się i tego, że w owem zawiniątku było coś niby suknie, niby bielizna. Bambetto zauważył, bo sam układał na koziołku i sam przed hotelem z kozła je zdejmował.

Aleksandrowicz wysłuchał cierpliwie, nie okazując po sobie, że go ta wiadomość bardzo ucieszyła, bo zebrał już poniekąd przekonania, że owa para, to mordercy z Salita Santa Nicola. Podziękował Piotrowi, pożegnał madronę i wyszedł na pozór obojętny.

Hotel Golfa był właściwie drugorzędnym zajazdem, do którego chroniły się różne osoby, chcące zachować jakieś „incognito“, luk mające na celu ukryć się chwilowo, lub chwilowo swobodnie zabawić. Opinię miał ten hotel bardzo wyraźną, to też nikt poważny, nikt przyzwoity tam nie zajeżdżał, a policya otaczała go stałą i baczną opieką.

Właściciel hotelu był właśnie w swoim kantorze, gdy zjawił się Aleksandrowicz. Zobaczywszy ajenta, którego znał dobrze, drgnął niespokojnie ale zaraz się opanował i z największą uprzejmością powstał na powitanie.

— A, pan Aleksandrowicz! Bardzo mi przyjemnie. Bardzo się cieszę, gdy mnie policya odwiedza; to podnosi opinię mego zakładu, bo goście widzą, że tu mogą bezpiecznie zajeżdżać, skoro policya czuwa nad ich bezpieczeństwem. Bardzo się cieszę, bardzo.

— Dziękuję panu za tę uprzejmość — rzekł Aleksandrowicz, nie mogąc, czy nie chcąc ukrywać ironii — wiem dobrze o pańskich uczuciach dla władz policyjnych i dlatego to właśnie chciałem zapytać, kto to był ów elegancki pan, który tu zajechał po północy z wtorku na środę, w towarzystwie zakrytej welonem kobiety.

— Po północy powiadasz pan? hm, hm, po północy. To może para romansowa schroniła się tu i zaraz rano się oddaliła. To bywa, o, o, bywa często. Być może — ale właściwie dokładnie powiedzieć nie mogę, bo ja w nocy śpię, a portyer gości przyjmuje.

— Taki skrzętny i zapobiegliwy gospodarz, jak pan, odbiera przecie co rano raport od portyera, interesuje się wszystkiem, co się w nocy działo, kto przybył, kto odjechał, więc nie wątpię, że panu doniesiono też o tej romansowej parze, jak ją pan nazywa.

— Mój Boże! Czyż podobna pamiętać? Tyle osób przesuwa się codziennie przez mój hotel; czyż można zwracać uwagę na każdego. Przybywa gość, zapisuje się w księdze meldunkowej i koniec. Nawet przypatrzyć mu się niekiedy brak czasu. Bo to proszę pana tyle osób! myśmy z tem oswojeni.

— Proszę zadzwonić na portyera.

— Na portyera? ha, dobrze, proszę bardzo. Ale i on zapewne nic więcej nie będzie wiedział ponadto, że przybyli, pobyli, rachunek zapłacili i oddalili się. Ale proszę, skoro pan sobie życzy, już dzwonię, zaraz przyjdzie.

Zadzwoniwszy, stanął właściciel hotelu, pod jakimś pozorem, za plecyma Aleksandrowicza, a gdy portyer stanął we drzwiach kantoru, dawał mu jakieś znaki. Aleksandrowicz, oswojony z takimi figlami i znać przewidując to, przy wejściu portyera odwrócił się nagle i dostrzegł jak się porozumiewali, ale udał, że nic nie widzi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Od Wydawnictwa.

Naszym Szanownym Inserentom mamy zaszczyt niniejszem donieść:

Z d. 21 stycznia b. r. objęliśmy wydzierżawiony dotąd dział ogłoszeń we własny zarząd i będziemy go nadal sami prowadzili.

NASZYJNIK MISS ADY

s. NOWELKA.

— Wszystko to ładnie, ale ten wielki zamach...

— Wielki zamach — nawiązał wysłannik miss Ady — Dobry wieczór panowie! Wielki zamach..... to może bogaty ożenek?...

Obydwaj rozmawiający rzucili nań podejrzliwe spojrzenie. Starszy z nich odrzekł jednak zaraz z nieco przymuszonym uśmiechem:

— Tak, rzeczywiście, tak jest, młodzi ludzie z naszej sfery nazywają wielkim zamachem — bogaty ożenek. Właściwie Hamard nie potrzebuje stępiać jeszcze więcej swych nożyczek przeznaczonych do obcinania kuponów. Jednakże te słowa „bogaty ożenek“ tak uporczywie krążą wśród młodych ludzi naszej sfery, że Hamard nie uważałby za odpowiednie małżeństwo z panną, któraby miały mniej, niż pięćdziesiąt milionów za ozdobę swej sukni ślubnej.

— Ależ hrabio, zapewniam pana, przysięgam, że ani mi się marzy o małżeństwie — zapewniał baron z lekkiem ziewnięciem, przysłaniając sobie usta ręką, ubraną w białą rękawiczkę.

Hrabia zwrócił się ku szambelanowi i zawołał z udaną rozpaczą:

— No widzi pan! Czyż można go zmusić do tego, aby robił znajomości z młodemi osobami, należącymi do towarzystwa?! Ale mimo tego przyrzekł mi, że przynajmniej sześć walców przetańczy tego wieczora, z kim, jednak nie wiem. Nie zna tu żywej duszy....

— Ach! jeżeli chodzi tylko oto -- wtrącił szambelan, śmiejąc się głośno, zadowolony, że będzie mógł wywiązać się z powierzonej mu misyi — to będę pomocnym panom w tym względzie.

— Tak!.... odezwał się hrabia — spełnia pan uczynek dobrego Samarytanina — kogóż ma pan na myśli dla niego?

— W pierwszym rzędzie — a sądzę, że nie będzie potrzebował wstydzić się tej znajomości — mam na myśli pewną piękną Amerykankę — rozpoczął w sposób dyplomatyczny Belgijczyk.

— Czy nie tę, z którą pan przed chwilą rozmawiał? — wtrącił Hamard — tak się domyślałem.

Hrabia poruszył się niecierpliwie:

— Chcesz dzisiaj udawać nieznośnego mój drogi?

— Proszę mi darować—przepraszał młody znowu poziewając. Jesteśmy wszyscy niewolnikami swego humoru..... Ale któż to jest ta wspaniała Amerykanka? Winszuję panu znajomości, jest na prawdę piękna — ciągnął dalej więcej ugrzecznionym tonem — ma wspaniały naszyjnik nad równie wspaniałym biustem.

Szambelan uczynił ruch wyrażający zdziwienie

— Jakto? Pan nie wie, że to jest sławny miliarder amerykański Rafael Screw ze swą córką Adą? Nie wie pan o tem, że naszyjnik, który ma ona na swej szyi, wart jest pięć milionów franków?....

Hrabia roześmiał się przy tych słowach.

— A to dopiero! Przez nasz pustelniczy sposób życia, zaczynamy się nie na żarty kompromitować towarzyską ignorancyą. — Już od trzech dni mieszkamy w tym hotelu i nie mieliśmy pojęcia, że tuż obok sąsiadujemy ze słynnym „królem kopalnianym“ Rafaelem Screw i jedyną spadkobierczynią jego fortuny! To paradne!

— Wraz z dodatkiem naszyjnika o wartości pięciu milionów — dodał również śmiejąc się Hamard i podniósł się elastycznie z krzesła. — Owszem zrób pan tę przyjemność, panie szambelanie miss Adzie, przedstawiając nas obu.

W tej chwili ze swą miną zblazowanego „viveur'a“, miał w sobie coś nad wyraz bezczelnego. To też hrabia, gdy zwolna zbliżali się do miejsc, gdzie siedział Screw, szepnął mu do ucha ostro:

— Co to ma znaczyć?

Lekko opierając się na jego ramieniu odrzekł również po cichu:

— Gram wielką grę. Zobaczymy jak na tę zarozumiałą i zadzierającą dumnie nos do góry Amerykankę podziała moja niedostępność. Tych ludzi trzeba brać sposobami, do jakich nie są przyzwyczajeni. A zresztą my jesteśmy proszeni.

Podczas gdy wszyscy trzej przechadzali się w bliskości miliardera i jego córki, zwrócił się szambelan do miss Ady z jakimś żartem, jego towarzysze przystanęli, zareprezentowanie ich stało się koniecznem.

Miss Ada znalazła się wobec młodego człowieka, z którego oczu nie można było wyczytać, czy doznawał jakiejkolwiek przyjemności z powodu, że został przedstawiony pięknej dziedziczce miliardów. Widocznie nie znał akrobatycznej sztuki prawienia komplementów. To ją zainteresowało. Pięć minut bez pochlebstw! To jeszcze się jej nie zdarzyło.

Z sąsiedniego salonu dochodziły porywające dźwięki walca, wykonywanego przez orkiestrę cygańską.

— Czy pani będzie tańczyć? — zapytał Hamard tonem takim, jakby raczej miał spełnić ciężki obowiązek, niż oddawać się przyjemności.

Jakto! Czyż by to nie było czemś pociągającem dla tego młodego, eleganckiego, ale jej dotąd prawie nieznanego szlachcica, że będzie pierwszego walca na balu tańczył, z nią Adą Screw? Myśl ta nagle powstała w jej dumnej główce. Zwróciła na niego badawcze spojrzenie, on jednak patrzył obojętnie przed siebie.

Wreszcie odpowiedziała mu po dłuższej pauzie z przymuszonym uśmiechem:

— Tak jest, będę tańczyła.... a nawet będę dużo tańczyła.

— To będzie zależało od tego, czy pani dobrze tańczy — odrzekł Hamard tonem, który wyrażał prawie zdziwienie, że ona pozwala sobie z góry rozporządzać jego osobą. Zadał sobie zaledwie cokolwiek trudu, aby te słowa ubrać w formę na poły żartobliwą.

Zmieszała się; to była prawie impertynencya z jego strony. Jej osoba nie obchodziła go wcale, lecz tylko umiejętność tańca! Niesłychane!

Lecz w tem nachylił się cokolwiek i podawszy zgrabnie ramię, powiódł ją do salonu, gdzie tańczono. Tam zabawa odbywała się w całej pełni. Synowie puszty, w czerwonych huzarskich mundurach rozpływali się tam w walcu, rozsypywali za pomocą strun swoje głębokie poczucie muzykalne na elastyczną posadzkę sali, która zdawała się w ruch wprawiać tancerzy.

Zupełnie chłodno objął baron smukłą talię miss Ady, poczem w takt walca zaczęli wciskać się dyskretnie w tłum par tańczących. Nie zamienili jednak ani słowa i zdawali się nie pozostawać ze sobą w jakimkolwiek kontakcie.

Cygan, pierwszy skrzypek, który stojąc, kierował orkiestrą, śledził tę piękną parę, gdziekolwiek się zwróciła, przeszywającem spojrzeniem swych czarnych, ognistych oczu. Czuł jak tańczą mechanicznie, obojętnie. Coraz namiętniej ślizgał się jego smyczek po strunach, jakgdyby pragnął tę parę nieznajomych porwać za sobą w krainę sennych, upajających marzeń....

Miss Ada tańczyła; tańczyła, jak umiała najlepiej. Lecz nigdy taniec nie wydawał się jej tak trudnym On prowadził ją lekko i pewnie, był to może walc klasyczny, który tańczyli, skończony co do formy, jednakże nie było w nim życia, był bezduszny.... Ten baron wydawał się być chyba z marmuru, bynajmniej nie poruszyły go jej wdzięki. Widziała, jak wszyscy siedzący i tańczący w sali z podziwem spoglądali na jej wspaniałą postać, którą ona sama widząc co sekundę odbitą w lustrach, uważała za coś nadzwyczajnego pod względem plastyki i szlachetnego wrażenia całości.... On tymczasem patrzył po nad jej głowę. To było oburzające! Jej duma była wzburzona. Ona musi zbudzić ze snu tego zaczarowanego księcia!.... Po trochu zbliżyła się do niego, przyspieszyła „pas“ zmusiła go do szybszego ruchu.... Syn puszty sekundował jej w tem przedsięwzięciu..., Walc stawał się coraz dzikszym, coraz więcej ognistym. Wreszcie poczała miss Ada lekkie ściśnięcie swej prawej ręki, a równocześnie spostrzegła z bijącem sercem, jak otworzył szeroko oczy i wchłaniał w nie jej postać. Nadszedł moment psychologiczny. Silniej ścisnął jej talię, bliżej przycisnął ją ku sobie, jeszcze szybciej poczęli wirować... (C. d. n.)

Zagadki do nagrody

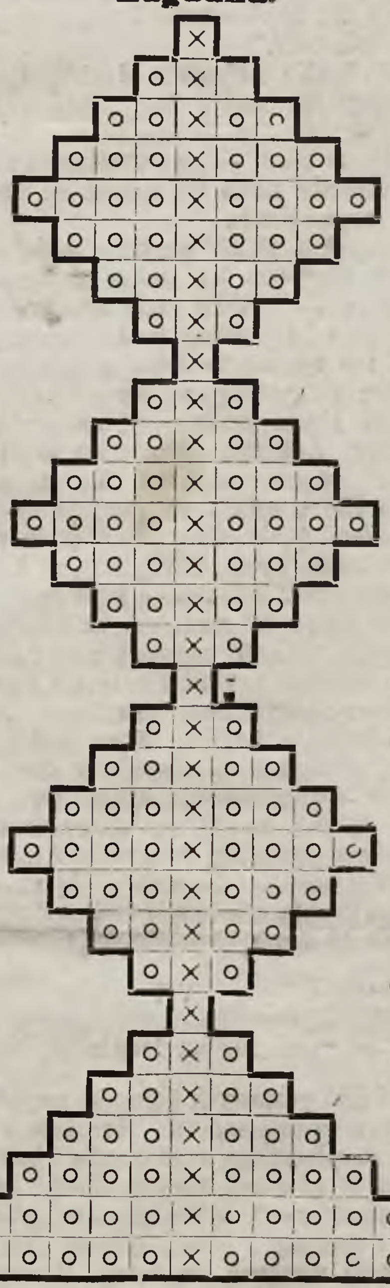
Logogryf zgłoskowy.

(Ułożył T. Domain Kołomyja.)

Z następujących zgłosek: a, a, an, an, ant, be, bia, da, da, dek, e, e, gam, go, ł, kle, lo, le, log, lu, ła. łą. ło, me, mon, ne, ne, ny, on, pa, pan, pi, pol, psy, raj, re, ry, ry, se, se, ter, tka, to, ty, wa, wa, wie, zył, zop, żo, y, ułożyć 17 wyrazów, których litery początkowe i końcowe czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko kompozytora polskiego oraz tytuły trzech jego utworów.

Znaczenie wyrazzów: 1. Krótki kawałek służący do urozmaicenia utworu. 2. Kość ludzka. 3. Minerał. 4. Bogini. 5. Litera grecka w liczbie mnogiej. 6. Rezydencya sułtanów. 7. Bogini słowiańska. 8. Metal. 9. Szczep normandzki 10. Część ciała. 11. Inaczej zakończenie. 12. Miejscowość znana ze zwycięstwa Chrześcijan nad Turkami. 13. Bajkopisarz. 14. Miasto we Włoszech. 15. Kraj w Afryce. 16. Demagog ateński. 17. Inaczej Hiszpania.

Zagadka.



Gwiazdki i krzyżyki zastąpiś literami w ten sposób, by litery wsfawione w miejsce krzyżyków czytane w pionowym kierunku z góry do dołu, utworzyły znane polskie przysłowie.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska 2. Liczebnik. 3 Zwierzę domowe. 4. Inaczej zajaz. 5. Wieś a raczej przedmieście Krakowa. 6. Miasto hiszpańskie i prowincya. 7. Ryba morska. 8. Zwierzę chytre. 9. Spółgłoska 10. Imię żeńskie. 21. Inaczej pieszara. 12. Jedna z głównych postaci męskich tryologii Sienkiewicza. 13. Tytuł powieści Korzeniowskiego. 14. Państwo w Ameryce południowej, 15. Gwałtowna burza. 16. Protoplasta rodu ludzkiego 17. Spółgłoska. 18. Materya żałobna. 19. Artykuł spożywczy codzienny. 20. Miejsce kąpielowe w Galicyi. 21. Stacya kolejowa i miejsce wycieczek Lwowian pod Lwowem. 22. Wyspa na morzu chińskiem. 23. Zamek królów polskich. 24. Rzeka w Austryi. 25. Samogłoska. 26. Król zwierząt. 27. Środek komunikacyjny. 28. Człowiek lubiący rozkazywać. 29. Utwór dramatyczny Słowackiego. 30. Sławny fabrykant fortepianów. 31. Dwie części świata.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek, przeznaczamy jako nagrodę: **»Trzecie Humoreski«** Ludwika Stasiaka.

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).